

W szponach gutażu

Młodość w niewoli



© Wydawnictwo Jot KA PUBLIKACJE and Rafał Pławiński

Niniejszy darmowy ebook zawiera fragment pełnej wersji książki pod
tytułem:

W SZPONACH GUŁAGU

MŁODOŚĆ W NIEWOLI

Darmowa publikacja dostarczona przez

Jot KA PUBLIKACJE – Twoje ulubione książki

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez Wydawcę. Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody wydawcy. Zabrania się jej odsprzedaży.

© Copyright for Polish edition by Jot KA PUBLIKACJE

Data: 26.08.2010

Tytuł: Młodość w niewoli (fragment utworu)

Autor: Rafał Pławiński

Projekt okładki: Romuald Guznowski

Korekta: Jarosław Klimek

Skład: Jarosław Klimek



Wydawnictwo
Jot Ka Sp. z o. o.
Złotogłowie 119
48-300 Nysa

www: [www: www.publikacje.jotka.pl](http://www.publikacje.jotka.pl)

e-mail: publikacje@jotka.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

RAFAŁ PŁAWIŃSKI

W SZPONACH GUŁAGU

POWIEW NADZIEI

*Najbliższym i zainteresowanym,
aby na kartach moich wspomnień
zetknęli się ze straszną prawdą,
z losami ludzi, których kości bieleją bez pochówku,
a prochy, przeważnie, rozsiewa wiatr
po syberyjskich przestrzeniach.*

Autor

Egzemplarz bezpłatny

© Wydawnictwo Jot KA PUBLIKACJE
Złotogłowie 2010

DOM RODZINNY, MŁODOŚĆ

Verba volant, scripta manent
– Słowa ulatują, pismo pozostaje.

1.

Ziemia, gdzie przyszedłem na świat, miała i ma swoisty charakter. Jest to kraj, gdzie jak w żadnym innym, mieszały się narody: obok siebie żyli Litwini, Polacy, Białorusini, Łotysze, Rosjanie, Starorusini, a nawet Tatarzy. Chyba nigdzie nie współżyli tak zgodnie. To tutaj pozostał zwyczaj całowania ojca w rękę, jeszcze do dziś nie zwraca się do rodziców przez „Ty”, jeszcze zachowały się zwroty: waćpan, jegomość, dobrodziej itd. To tu spotkały się religie chrześcijańskie: prawosławni, katolicy, starorusini i pomost ich odmienności – unici. Tu można było spotkać meczet muzułmański obok kościoła lub cerkwi i wszyskim nie przeszkadzała bożnica żydowska. Po rozbiorach ład zżytej społeczności próbowano zakłócić przez represje polskiej ludności. Z tych ziem były pierwsze deportacje na Syberię w okolice rzeki Toboł, a byli to jeńcy wojenni, wzięci do niewoli przez Rosjan u schyłku XVI w.

Pod koniec XVIII i przez cały XIX w. trwały wielkie prześladowania w postaci aresztowań i masowej zsyłki w głąb Syberii. Polacy na kresowej Wileńszczyźnie, w latach niewoli, byli odważni i waleczni. Był taki okres, kiedy zaszczytem było urodzenie się pod taką strzechą, gdzie matka nauczała polskiego pacierza. Mowę ojczystą zachowywano w domach, a matka do swego maleństwa pierwsze słowo wypowiadała właśnie w tym języku. To syn tej ziemi marzył, aby jego książki zbłądziły pod strzechy. I trafiły one pod strzechy polskie, litewskie czy też białoruskie.

To na tej ziemi wielka matka z domu Billewiczówna, jeszcze w 1867 r. pochylając się nad kolebką małego Ziuka – Klemensa, wymówiła do niego pierwsze polskie słowo. To pod jej wpływem ukształtuje się później jego rewolucyjny patriotyzm, a będąc już działaczem narodowym, po latach powie: „...matka od najwcześniejszych lat starała się rozwinąć w nas samodzielność myśli i uczucie godności osobistej, które w moim umyśle formowało się w sposób następujący: tylko ten człowiek wart nazwy człowieka, który ma pewne przekonania i potrafi je bez względu na skutki wyznaczyć czynem”.

Źródłem patriotyzmu były też powstania narodowe w 1794, 1831 i 1863 r., które głośnym echem dotarły aż do dalekiej Wileńszczyzny. Listopadowy zryw w 1831 r. sięgnął Dżysny, Łużek, Horodźca, Głębokiego i Lepla. Do legendy ówczesnych wydarzeń weszli mieszkańcy tych ziem: marszałek Podbipięta, hr. Augustyn Brzostowski, Benedykt Klot, Antoni Korsak, Szyryn i ksiądz pijar Tataur z Łużek. Siedzibą tych wydarzeń były Łużki. Na czele oddziałów powstańczych stanął pułkownik Brochocki – rodem z Głębokiego. Powstania upadały, ale legenda pozostawała. Przez dwa kolejne powstania działał tu generał Michał Murawjew „Wieszatiel”. Aż do śmierci w 1866 r. ścigał uczestników powstania z 1863 r. 128 patriotów skazał na śmierć, 853 – na katorgę, 504 – wysłano na Sybir, a razem z Polski i Białej Rusi – wysłano w głąb Rosji 12 tysięcy ludzi.

Nośnikami wartości narodowych były nasze babcie, matki, siostry. W latach niewoli siła tożsamości narodowej ujawniała się w sposób szczególny. Kobieta-matka, po urodzeniu swego maleństwa, zaczynała przysposabiać go do przyszłej misji czynu powstańczego. To wielkość ducha naszych matek spowodowała, że po wielokrotnym rozbiorze kraju – on ponownie jest wolny.

Moich korzeni należy szukać w domu dziadków. Tu od pokoleń, za wyjątkiem dwudziestolecia II Rzeczypospolitej, nie było żadnych instytucji polskich. Polskość chroniła się w naszych domach, kościołach katolickich i w sercach. Tak przenikała do następnych pokoleń. Moją przystanią narodową był dom dziadków: Emilii i Tadeusza Juskiewiczów mieszkających w miejscowości Wejtkowo – odległej o 4 kilometry od rodzinnych Bohuszewicz. Zmarłych wcześniej babć nie pamiętam.

Tak bardzo kochałem atmosferę tego domu, że sama nazwa miejscowości napawała mnie radością. Wejtkowo było moim dziecięcym rajem i w szczególny sposób przeżywałem moment, kiedy Matka brała mnie za rękę i szliśmy – ona do rodzinnego domu, ja zaś do dziadka. To miejsce przynosiło mi tyle bajkowego szczęścia. Może dlatego, że dziadek miał duży sad, a w nim najsmaczniejsze na świecie gruszki, jabłka, śliwki, wiśnie. W gospodarstwie było duże podwórko, a na nim urzędował rudawy Frygan, który witał mnie machając długim ogonem. Intrygował mnie wielokrotnie przebudowywany dom dziadka, mający tyle różnych zakamarków, a ja, jak to dziecko, musiałem wszędzie wejść i wszystko zobaczyć. Lubilem w nim główny pokój salonem lub stancją zwany. Na pobielanych ścianach wisiały dziewiętnastowieczne portrety ówczesnych bohaterów: Henryka Dąbrowskiego, księcia Józefa Poniatowskiego i Napoleona. Upamiętniały one wydarzenia z 1812 r., bo w pobliżu Wejtkowa przez Głębokie, Wielec, Horodziec i Łużki przebiegał trakt Batorego, po którym ciągnęły wówczas na Moskwę wojska napoleońskie i polskie. W tym domu zawsze panował język polski z domieszką staropolskiej gwary. Szkoły polskiej wówczas nie było i starsze dzieci dziadek uczył czytać i pisać w domu. Doczekali się szkoły tylko najmłodsi: ciocia Mania, wuj Zygmus i Henryk. Jeszcze w dzieciństwie słyszałem częste rozmowy

starszych, rozprawiających o niedawnej wojnie. W domu dziadka w tym czasie najpierw był sztab bolszewicki, a później stacjonowało wojsko polskie. Wtedy młody ułan – oficer wojsk polskich, ofiarował siedemnastoletniej Jadzi polską książkę, a na okładce widniał tytuł: „Serce Polski”. Była dziełem zbiorowym odzwierciedlającym ducha rodzącej się niepodległości. Na pierwszej stronie widniał ładnie wykaligrafowany napis:

„Dla młodziutkiej Polki Jadzi w dowód sympatii i na pamiątkę tu naszej obecności

por. Z. Kwiatkowski

marzec 1920 rok.”

Można wyobrazić sobie reakcję i radość młodej czarnookiej siedemnastolatki, otrzymującej od przystojnego oficera dwa drogie sercu prezenty: książkę z dedykacją i niepodległą Polskę. Niedługo trwała radość młodej, dorastającej dziewczyny, bo znowu nasilały się frontowe strzały, ale już od strony wschodniej, a cofający się oddział wojskowy niósł na brezentowej płachcie zwłoki oficera.

- Kto zginął? – zapytał ktoś z tłumu.
- Porucznik Kwiatkowski! – poinformował jeden z żołnierzy.

Nasze oddziały odchodziły w pośpiechu na zachód, a pod naporem wojsk nieprzyjaciela nie dało się z honorami pochować dowódcy. Pogrzebano porucznika w pobliżu Wejtkowa, na wzgórzu za rzeczką Kobylicą.

Zawsze widniał tam krzyż w ogrodzeniu, a grób był ukwiecony, dbała o to, nosząca w głębi duszy wdzięczność i pamięć, czarnooka Jadzia. Po jakimś czasie prochy młodego oficera przeniesiono na wydzielone pole cmentarne w Zadorożu, a siedemnastoletnia dziewczyna z tamtych

wydarzeń po dziewięciu latach, została moją Mamą. Starła się zachować pamięć człowieka, do którego, być może, żywiła dziewczęcą sympatię. Będąc już starszą osobą, a później leciwą staruszką – zawsze przyklękała na zbiorowej mogile poległych żołnierzy i długo modliła się w skupieniu i zadumie. Po latach spoczęła również na tym cmentarzu nieopodal mogił, do których była tak przywiązana.

Wojna pozostawiła sporo grobów poległych żołnierzy, a na nich miejscowa ludność sadziła i pielęgnowała kwiaty. Tu linia frontowa utrzymywała się długo i przebiegała wzdłuż rzeki Auty, która przepływała obok Bohuszewicz. Po stronie zachodniej stały wojska polskie, po wschodniej – bolszewickie. W dworku bohuszewickim wojna zostawiła pamiątkę – pocisk, który wpadł do pokoju na łóżko z pierzyną i nie eksplodował. Pan Nornicki zachował go jako pamiątkę z tamtych trudnych dni. Mojego domu wtedy tam jeszcze nie było, bo już po wojnie stryjowie wraz z ojcem wykupili część majątku. Na naszych polach były jeszcze ślady linii obronnej, a zygzakowate rowy w lasach i zaroślach do dziś są świadkami ówczesnych wydarzeń.

W domu ojca, już w Bohuszewiczach, panowała podobna atmosfera, jak i u dziadka Tadeusza. Zaszczepiła ją tam Matka, z tą tylko różnicą, że dominowała legenda marszałka Piłsudskiego. Dlaczego kult marszałka tu się zdomowił – tego nie wiem. Tłumaczę to raczej tym, że ojciec w czasie I wojny światowej walczył w legionach, a może wpływały na to więzy krwi, bowiem jego matka była również Billewiczówną z domu. Atmosferę sympatii do marszałka zaszczepiała również ciocia Paulina Suboczewska — cioteczna siostra ojca. Ciocia młodzieńcze lata spędziła w Połocku, rewolucję przetrwała w Petersburgu wraz z bratankiem, małym Kaziem, a wojnę z bolszewikami już w rodzinnych stronach w Kamian-

kówce i Wejtkowie. Prowadziła wędrowny tryb życia, bo mieszkała jakiś czas w Mosarzu w majątku Piłsudskich, potem w Wilnie, Głębokiem, a nawet w Czeczenii na Kaukazie. Dobrze poznała Rosję, a mieszkając w Petersburgu widziała z bliska Lenina i jako Polka zetknęła się z Feliksem Dzierżyńskim, ale wspomnienia o nim nie były najlepsze. W czasie głodu jednak pomagał Polakom. Ciocia zawsze była duszą towarzystwa, nie tylko w domu moich rodziców, ale i w Wejtkowie u dziadka.

Błądząc już tylko wspomnieniami po dawnych drogach, ścieżkach i ścieżynkach – niewiele nazwisk z tamtych dni udaje się odtworzyć, czas zrobił swoje, ale wiem jedno, iż był to okres miły kresowemu sercu i jaka szkoda, że odszedł w niepamięć. Było wiele takich małych dworców czy też polskich domów, w których kultywowano nasze zwyczaje.

Mój dziecinny i młodzińczy świat wiązał się zawsze z domem dziadka, wuja Bolesława Stomy-Mierzwińskiego, no i oczywiście z moim. U wuja Bolesława życie biegło dynamicznie, bo dom był pełen ładnych dziewczyn, a gdzie są panny – tam zawsze jest młodzież, muzyka i wesołość. Wuj grał pięknie na skrzypcach i był znany ze swych kawałów, gawęd i bajek. Swój dom miał w miejscowości Borowina – na wielkim odludziu, ale za to wtopiony w łono prześlicznej natury. Latem było pięknie, bo siedziba znajdowała się na wzniesieniu, a wokół, jak okiem sięgnąć – morze torfowiskowych roślin. Wuj miał pięć córek, a jedna z nich, Hela, podzieli później los łagrowych dziewczyn, gdy w walce o niepodległą Polskę zwiąże się z podziemiem. Dodatkowym związkiem z Wejtkowem była nieduża rzeka, Kobylicą zwana, która swój początek brała z mokradł Borowiny, a później przepływała przez kuchciński las, kierując się w stronę dziadkowej siedziby. Zapamiętałem wesele wejtkowskie, chociaż było ono dawno temu, kiedy osiemnastoletnią Tonię wydawał wuj

za mąż. Panem młodym był nauczyciel ze szkoły zadoroskiej – Piotr Dąbrowski. Wysoki, przystojny mężczyzna wyróżniał się inteligencją i bezpośrednim sposobem bycia. Panna młoda natomiast zadziwiała subtelnością urody. Wesele urządzono w Wejtkowie, a w jego organizowaniu brała też udział hrabina Brzostowska. Wuj był zarządcą jej majątku. Pani hrabina udostępniła swe piękne konie, powozy i zaszczyciła uroczystość swoją obecnością. Na stołach było mnóstwo trunków, wszelakiego jadła, jak na wejtkowskie zwyczaje przystało. W toku zabawy siostra pana młodego – przystojna blondynka, urządziła popis artystyczny, przebierając się za amanta.

Stawaliśmy się coraz starsi i powoli wkraczaliśmy w wiek szkolny. Na naszych terenach panował jeszcze spokój, a tylko od strony wschodniej docierały niepokojące wieści, ponieważ granica przebiegała nieopodal. Tuż za nią ludzie byli już wysiedleni, a pola i ogrody zarastały dziką roślinnością. Marny los spotkał tych rodaków, którzy odważyli się tam pozostać. Lęk zmuszał niektórych do opuszczenia rodzinnych stron. Pozostawiali tam majątki lub mniejsze posiadłości, gdyż wiadomo było, że i tak wszystko przepadnie. Tak znaleźli się w mojej rodzinnej okolicy Dąbrowscy, Karczewscy, Piechowscy, Śledziewscy, Kuczyńscy i inni. Uciekinierzy nie mieli łatwego życia, bo wszystko trzeba było rozpocząć od nowa. Przekraczali granicę nielegalnie – cały dobytek pozostawiając po tamtej stronie, ale lęk przed represjami i tajemniczą śmiercią gnał tych ludzi w nieznane. Niektórzy mieli również posiadłości w Polsce lub na Litwie i do nich wracali. Tak uniknął łagrów i Syberii znany pisarz Melchior Wańkowicz. Była to prężna i zaradna grupa przybyszy, która w nowej społeczności szybko znajdowała swe miejsce, dając dobry przykład okolicznym mieszkańcom.

Koniec wojny zastał Dąbrowskich w odległym Homlu. Marzenia o wolnej Polsce mogły się spełnić tylko przez nielegalne opuszczenie tamtych terenów. Trudna to była decyzja, gdyż w domu było pięcioro niepełnoletnich dzieci, ale pan Maciej nie chciał ryzykować pozostając na miejscu. Sam pochodził z kresowej szlachty, osiadłej na wschodzie jeszcze w czasach I Rzeczypospolitej i wiedział co go czeka, jeżeli nie przedostanie się do kraju. Wraz z młodocianym Piotrusiem, małą Helą, Staszka, Tosią i Franią przeszli nocą granicę i znaleźli się na terenie Polski. Przez czas jakiś mieszkali w Dereczynie, gdzie pan Maciej dostał pracę na kolei, a dorastający Piotruś wstąpił do seminarium nauczycielskiego w Warszawie. Tam studiował, a w wolnych chwilach sprzedawał gazety. Po ukończeniu seminarium skierowano go do pracy w szkole w Zadorożu, dokąd przeniosła się również i cała rodzina Dąbrowskich. Czas leciał i zbliżała się następna wojna. Pan Maciej zdążył wykształcić już wszystkie dzieci, ale sam nie doczekał nadejścia 1939 r., dzięki czemu nie podzielił losu, jaki spotkał innych uciekinierów zza wschodniej granicy.

W Wejtkowie nadal przy każdej okazji zbierali się miejscowi kresowiaczy i beztrudno spędzali wolny czas, jak gdyby przeczuwali rychłe niekorzystne zmiany. Moi wujowie Zygmunt i Henryk byli kawalerami, a swój dom przekształcili w miejsce zabaw i rodzinnych spotkań. Do takich dni należało zawsze podwójne święto przypadające 15 sierpnia, kiedy po nabożeństwie w kościele zadoroskim, *festem*¹ zwanym, tradycyjnie, od lat ustalonym zwyczajem, proszeni goście zjeżdżali się do Wejtkowa. Tu w pierwszej kolejności można było spotkać Stomo-Mierzwińskich z córkami, Dąbrowskich z czarnooką blondyneczką Narcyzią, Śledziwskich z synem Franciszkiem, który wzrostem przewyższał wszystkich. Zapamiętałem młodą Tereskę Kwiatkowską z chabrowymi oczami, która

1 Nazwa odpustu kościelnego na Wileńszczyźnie.

była dalszą krewną dziadka. Bywała tam niedużego wzrostu szatynka – pani Jadzia Bojnarowiczówna wraz z bratem Józefem. Pani Jadzia miała zostać moją ciocią, ale zaistniała jakaś przeszkoda. Widywałem też wysoką, energiczną, o dźwięcznym głosie – przystojną panią Marysię Wojniczównę. Można było spotkać sąsiada pana Mackiewicza, który stale spoglądał w stronę mojej jeszcze niezamężnej cioci Marysi. Duszą tych spotkań była, najstarsza w rodzinie, ciocia Zienkiewiczowa, bez której tu chyba nic nie mogło się odbyć. Dwie najukochańsze wejtkowskie ciocie: Tosia i Marysia miały pełne ręce roboty, i to dzięki nim na stołach niczego nie brakowało, bowiem mistrzyni od spraw apetycznej kuchni spisywały się wspaniale. Nadziewane indyki, kaczkę czy też inne mięsiki – to ich dzieło, a na koniec torty, desery, których nie potrafię nawet wymienić.

Starsi rozprawiali zawsze o legionach, sięgając pamięcią do niedawnej wojny, a młodzież gromadziła się w dziadkowym ogródku, gdzie w czerwcu kwitły różnobarwne piwonie, a latem aż do późnej jesieni – różnokolorowe, wysokie i niskie dalie. Wśród barwnego kwiecia stały ławy zrobione z dębowych dech, na których przesiadywało rozweselone towarzystwo, a po koniaku czy też likierze była chęć do śpiewu. Ulubioną, melodyjną i oddającą huculskie motywy – była pieśń „Czerwony pas”. Wilgotne powietrze, nadciągające z nad modrej Kobylicy i kuchcińskiego lasu, potęgowało ten śpiew tak, że słysząc go było w Hojduszowie, Ambrusowie, Kamiankówce, sięgając aż do Borowiny. Duszą rozbawionej gromady była młodziutka czarnulka – studentka Uniwersytetu Batorego w Wilnie i mój wuj Henryk w mundurze oficerskim.

Podobne zwyczaje miały miejsce i w moich Bohuszewiczach. Kochałem swój dom rodzinny, który znajdował się nieopodal majątku, a jego nazwa była jakaś tajemnicza i zagadkowa. Sądziłem, że pochodzi od Bohusza, ale nikt nie potrafił wytłumaczyć skąd się wzięła. O przeszło-

ści tego zakątku świadczyły pamiątki minionej epoki – dwa drewniane, okazałe dwory, park z rodzimych i egzotycznych drzew, duży sad i aleje, które miały swoje nazwy: lipowa, brzozowa, topolowa i inne. Liczne żywopłoty i całe kompozycje z różnokolorowych kwiatów, zrobione ludzką ręką, przypominały perskie dywany. Największą zagadkę stanowiły kurhany – kopce rozmieszczone obok dworów, w sadzie i parku. Na ich wierzchołkach rosły kwiaty, a wokół stały ławki. Na niektórych były rozłożyste drzewa, a w ich cieniu w skwarze dnia można było znaleźć spokój i ochłodę. Skłonny jestem twierdzić, że nie były sztuczne, bowiem nieopodal znajdował się olbrzymi las, a w nim, jeden przy drugim, kurhany. Wewnątrz znajdowały się szczątki ludzkie, grzebane w pozycji siedzącej, a nawet drobne przedmioty lub ozdoby, broń i inne rzeczy. Takich dawnych cmentarzysk było wiele, ale barbarzyńska ręka, tworząca połacie kołchozowych pól, wszystko zniszczyła.

Jesienią 1938 r., kiedy zaistniał konflikt z Czechami o Zaolzie, zmarł nagle mój dziadek Tadeusz. Jakieś zrządzenie losu oszczędziło mu udziału w represjach, kiedy kraj zostanie zalany najeźdźcami z zachodu i wschodu, a dwaj synowie Zygmunt i Henryk, wnuczka Helena i najstarszy wnuk – odczują to boleśnie. W kraju zaznaczał się już ogólny niepokój, a wuj Henryk ze swym oddziałem stacjonował na pograniczu zachodnim, mając duże trudności z przybyciem na pogrzeb ojca. Przyjechał w ostatniej chwili, kiedy kondukt zbliżał się już do Zadoroża. Zobaczyłem go przy kościele, gdy mimo zmęczenia podróży, stał wyprostowany na baczność, oddając cześć pamięci ojca.

Obserwowałem wuja, gdyż wszyscy mawiali, że byłem jego małym sobowtórem. Mnie również pociągało wojsko, a szczególnie mundury naszych oficerów. Wówczas stałem i patrzyłem na niego, marząc o podobnej karierze. Kto by pomyślał wtedy, że za cztery lata, 4 lipca 1942 r., zginie

od kuli wroga.

W moich Bohuszewiczach, jeszcze przed śmiercią dziadka, organizowano również liczne zabawy i biesiady, kiedy rodzice byli jeszcze młodzi, a dom ojca był odwiedzany przez Ostrowskich z Padaut, Rusińskich z Pczelnika, Perkowskich, księdza Zmitrowicza z Czerniewicz, Karkockich i innych okolicznych sąsiadów.

Pamiętam majowe nabożeństwa, które odprawiano nieopodal domu pod krzyżem, gdzie w wieczornej porze czczono modłami patronkę tego pięknego miesiąca. Zbierała się tam cała okolica – ludzie z Bohuszewicz, Zarowia, Prudnikowa i innych. Tu można było spotkać Karkockich, wszystkich Braunów, Karczewskich, Piechowskich, Gogalimskich, Buntów. W modłach przewodniczyła ciocia Antonina Pławińska lub pod jej nieobecność – moja Matka. Ludzie, w głębi duszy, nosili trwogę nadciągającej burzy dziejowej i dlatego na ich rozmodlonych twarzach niepokój był widoczny. Z jakim podkreśleniem i intonacją w tym chóralnym śpiewie brzmiały słowa: „Broń nas od wojny! Zdrowaś Maryjo!” Tylko wilgotne powietrze znad Auty, jaru i okolicznych dolin – wzmagало rezonans tej błagalnej pieśni. Zaniepokojeni ludzie prosili swoją Matkę, aby się wstawiła i odwróciła nieszczęście, które zawisło nad krajem, a szczególnie zagrażało kresom wschodnim.

Majowa wiosna szła już ku końcowi, a za nią czerwcowe i lipcowe lato – okres żniw, który przyniesie nie tylko mozolną pracę, ale i tradycyjne piękno, związane ze śpiewem powracających wieczorem urodziwych żniwiarek z sierpami. Powietrze wówczas było czyste jak przejrzysty kryształ, a zmieszane z wieczorną rosą, przenosiło tę symfonię dziewczęcej radości daleko w przestrzeń przepojoną zapachem cząbr i kwitnącego ziela.

Uroki lata również przemijały powoli i zbliżał się złowieszczy wojenny wrzesień 1939 r. Spokój i radość skończyły się, kiedy ogłoszono ogólną mobilizację. Ci co szli bronić kraju, jeszcze raz przyszli pod ten sam krzyż, gdzie tak niedawno w gromkim śpiewie prosili swoją Matkę o pokój. Tu pożegnali nas i odjechali tam, gdzie wzywał ich obywatelski obowiązek. Zamilkły już śpiewy, a w zamian na granicy usłyszeliśmy kanonadę z broni maszynowej, zgrzyt czołgowych gąsienic, a za kilka godzin zjawiła się szarzyzna niedomytego żołdactwa.

Dobrze zapamiętałem dzień, kiedy w pobliżu domu sowieckie wojska wlokły się na zachód, a zrozpaczona Matka, nerwowo chodząc po mieszkaniu, załamywała ręce i głośno płakała. Żaloba okryła całe kresowe społeczeństwo, a chociaż lato wówczas było piękne, to ludzie tego nie dostrzegali. Powoli wracali ci, którzy niedawno szli jeszcze do wojska. O przygodach wojennych opowiadał sąsiad Antoni Braun, który wrócił z niewoli sowieckiej i nie mogąc pogodzić się z rzeczywistością, przystał wraz z innymi do ruchu konspiracyjnego. Z opowiadań wynikało, że obóz jeniecki znajdował się w klasztorze prawosławnym i przebywało tam wielu polskich oficerów, a tylko szeregowców zwalniali. Sam się cieszył, kiedy opuszczał ten przybytek, ale przyszłość, tak jednych jak i drugich, była tragiczna.

Młody porucznik prosił go wówczas o sprzedanie koca.

– Pan jedzie do domu, a mnie, być może, sądzono na nim umrzeć – powiedział.

– Proszę go wziąć na pamiątkę – odrzekł pan Antoni.

Z sąsiedniego Prudnikowa na wojnę poszło pięciu Braunów. Po Konstantym i Piotrze nawet ślad zaginął, a pozostali trzej: Antoni, Stefan i Marcin – wrócili, ale rychło trafili ponownie pod opiekę „NKWD-

owskiej sprawiedliwości”.

Wydarzenia potoczyły się szybko. Niedługo rozpoczęły się deportacje i masowe aresztowania. Wszystkie więzienia były już zapelnione, a z braku w nich miejsca – przystosowano do tych celów klasztory. Matka pakowała wówczas do worków wszystko, co mogło być przydatne w drodze. W tym trudnym czasie tylko ona była najbardziej przezorna i opanowana. Toboły stały gotowe do drogi, zajmując część mieszkania, i tylko oczekiwania na wizytę NKWD obciążały psychikę. Wszystkich ogarniał strach, kiedy na bocznych torach w Ziabkach zjawiał się zestaw wagonów towarowych do przewożenia ludzi. Deportacja odbywała się przeważnie w okresie największych mrozów i nikt nie wiedział dokąd wiozą, tylko każdy zdawał sobie sprawę z tego, że na katorgę. Taki los spotkał sąsiada – osadnika Nieszporka, który miał liczną rodzinę, będącą w ciągłym niedostaku. Deportowano również stryja Stanisława Pławińskiego – mieszkańca leśniczówki głębockiej. Wywieziono go dlatego, że kiedyś walczył w legionach, a później pracował jako leśniczy. Dużo rodzin spod Czerniewicz i Łuzek trafiło do archangielskiej *oblasti*². W stanie ciągłego napięcia przetrwaliśmy tak dwie wywózkowe zimy i ostatnią wiosnę 1941 r.

Straszne też były zbiorowe aresztowania. W okolicy działał donosiciel w mundurze gajowego – Makar Zieńko. Uzbrojony w dubeltówkę laził po terenie i śledził mieszkańców, węsząc pod oknami domostw. Mieszkał w dworku pana Perkowskiego w Bohuszewiczach, chociaż własną siedzibę miał w pobliskim Amielkowie. W dworku czuł się dobrze i wyobrażał sobie, że teraz on jest panem majątku. Miał przystojną, ładną żonę z dużymi niebieskimi oczyma, ale jej urok niewiele go obchodził. Urodą i względami pani domu interesowali się inni, on zaś wołał wyko-

nywać krecią robotę. Nosił mundur obwieszony błyszczącymi blaszkami, a na głowie dużą, okrągłą czapę z czerwoną gwiazdą w złotawej otocie. Wszyscy bali się tego człowieka, bo uosabiał odrażającą postać bolszewika z wojennego plakatu z 1920 r. Był skryty i zamknięty w sobie, z dozą służalczej nadgorliwości. Dlatego też największe aresztowania były tam, dokąd sięgała jego działalność. Czuł szczególną niechęć do osób narodowości polskiej i sam brał udział w aresztowaniach. Dokonywano tego najczęściej etapami, a zatrzymanych osadzano w budynku poklasztornym w Berezwechu. Był tam kiedyś zakon bazylianów. W etapie pierwszym na przełomie 1940-1941 roku aresztowano: Alchimowicza z Plissy, Marcina Brauna z Prudnikowa, Leona Bartkiewicza z Szerśni, Józefa Bojnarowicza z Dworzycy, Adolfa i Bronisława Dowborów z Horek, Mikołaja Giegiela z Sieleźniowa, Karola Karczewskiego z Kuczenszczyny, Stanisława Karczewskiego z Zarowia, Bronisława Pławińskiego z Bohuszewicz, Franciszka Śledziewskiego z Horek, Piotra Tkacza z Hornostajów i Pawła Hornostaja z Czeronek.

Następny etap aresztowań nastąpił w kwietniu 1941 r. Wówczas zatrzymano Antoniego i Stefana Braunów z Prudnikowa, Antoniego Borysewicza z Czerniewicz, Leona Chodasewicza z Plissy, Władysława Jezierskiego z Głębokiego, Jana Karczewskiego z Zarowia, Wsiewołoda Szyrana z Łużek i Feliksa Stukana ze Stukanów. Podaję tylko te osoby, które były mi znane lub o nich słyszałem.

W więzieniu berezweckim przebywało w tym czasie już kilka tysięcy zatrzymanych, a byli to Więźniowie polityczni oraz niewielka część zatrzymana za przestępstwa pospolite. Wydarzenia, jakie wówczas miały miejsce, nie mogły nie oddziaływać na wyobraźnię, co wpływało na mój stosunek do ówczesnych władz. W sposób szczególny przeżyłem aresztowanie stryjecznego brata Bronisława, a nieustanna obawa o ojca

powodowała, że okres chłopięcy przebiegał w ciągłym lęku, kształtując buntowniczą osobowość.

Była mroźna noc, kiedy posłyszałem głośne pukanie do drzwi. Wszystkich obleciał strach, dopóki nie odezwała się ciotka Antonina Pławińska.

- Co się stało? – spytała zaniepokojona matka
- Bronka aresztowali! – drżącym głosem oświadczyła ciotka.
- Kiedy?
- Przed chwilą! Najpierw dokonali rewizji, a potem zabrali i powieźli.
- A czego szukali? – spytał ojciec.
- Pytali, gdzie ma ukrytą broń.
- Czy coś znaleźli?
- Nic! – odpowiedziała ciotka.

W tym czasie byliśmy już wszyscy na nogach, a w domu panował nerwowy nastrój i zamieszanie – tylko ciotka siedziała nieruchomo z opuszczoną głową i płakała. Wyjrzałem przez okno – w oczy rzucały się duże *wory*³ stojące na uboczu, przygotowane do drogi – tylko że dłuższej, bo aż na Sybir. Pocieszaliśmy ciotkę, jak się dało, ale niewiele to pomogło. Nadal zalewała się łzami i aby ją uspokoić, matka zaproponowała modlitwę. Po chwili klęczeliśmy wszyscy i prosiliśmy Matkę Bożą o odwrócenie nieszczęścia, jakie zawisło nad Polską. W czasie modlitwy ciotka nie płakała, tylko tkwiła w głębokiej zadumie, myślała na pewno o synu, którego zabrali uzbrojeni *bojcy*⁴.

3 Samochody przeznaczone do przewozu więźniów .

4 Tak nazywano żołnierzy w ZSRR do 1941 roku.

Mocno przeżyłem późniejsze aresztowania bliskich sąsiadów, a w szczególności pana Jana Karczewskiego. Żywiłem do niego wyjątkową sympatię, gdyż byliśmy mocno zzyci, a pan Jan miał do mnie wręcz ojcowski stosunek. Interesował się moim chłopięcym życiem, a w szczególności postępami w szkole.

– Bierz przykład z mojego Romka – zawsze mawiał. Znany z pragmatycznego usposobienia i niebywałych zdolności manualnych, był przykładem dla innych. Po opuszczeniu terenów wschodnich szybko zdobył grunty na własność i wybudował na nich dworek, a że był człowiekiem praktycznym – prace stolarskie i inne wykonał sam. Dom był piękny, okazały i wygodny. Teren pagórkowaty, dom postawił na uroczym wzniesieniu, skąd widoczna była rzeka Auta, liscizański las i porośnięta świerkami okazała Kamionka. W podwórku urzędował duży pies, dalej szopy na narzędzia i budynki gospodarskie. Wiszący przed domem gong narzucał rytm codziennych zajęć i oznajmiał czas zasłużonego odpoczynku. Od strony Auty, na stoku, jak okiem sięgnąć – duży sad. Pola, przeorane pociskami i rowami frontu, świadczyły o niedawnej wojnie. W domu atmosfera patriotyczna, z kultem marszałka Piłsudskiego i niepodległości kraju.

W tych czasach pan Karczewski, podobnie jak i mój ojciec, starał się nie przebywać w domu. Śledzony jednak przez donosiciela – dał się wywieść w pole. Był zdziwiony, kiedy w czasie oporządzenia gospodarskiego inwentarza zobaczył w podwórzu gajowego Makara Zieńko. Przywitał go ukłonem – ten zaś szybko przywołał ukrytych w pobliżu enkawudzystów, którzy czekali, aby go aresztować.

Był już wieczór, a w dworku trwała jeszcze rewizja. Szukali broni oraz zabierali przy okazji książki, niszcząc tym samym resztki domowej

polskości. W tym czasie zaistniał dość wyjątkowy przypadek. Zabrakło w domu chleba, więc najmłodszy syn Romek udał się do sąsiadów. Pan Karczewski siedział smutny z opuszczoną głową. Strażnik, stojący obok, nie pozwalał na swobodne porozumiewanie się z żoną i synem Jasiem. Zatrzymany spoglądał w ich stronę, a serce bolało, bo wiedział, że czeka go przebywanie w enkawudowskim więzieniu. Rewizja powoli dobiegała końca i nadchodził czas opuszczenia Zarowia, podobnie jak pozostawił na zawsze rodzinne Sudziłowicze, gdzie spędził najpiękniejsze lata swego życia.

– *Sobierajcieś! Uże pora!*⁵ – rzekł starszy konwojent. Pan Jan spojrział na niego i na domowników, ale widać było, że go coś niepokoi – przecież czekał na powrót syna. Polecenia strażnika wykonywał powoli, starając się zyskać na czasie.

– *Możno li z siemioj popraszczatsia?*⁶ – spytał.

– *Możno!*⁷ – odpowiedział strażnik. Szybko znalazł się przy żonie, objął i cicho coś do niej mówił. Pani Karczewska starała się nie płakać. Pocieszała męża, ale łzawy błysk jej oczu był łatwo dostrzegalny.

– *No chwatit! Chwatit!*⁸ – odezwał się jeden ze strażników.

Pan Karczewski podszedł jeszcze do Jasia, a ten objął ojca i ze wzruszenia nie mógł słowa wykrztusić. Ponownie celowo przewlekał pożegnanie, gdyż sądził, że wnet nadejdzie Romek.

W Zarowiu zapanował zmrok, a z oddali dobiegało jeszcze ujadanie psa. Myszel wraz z Autą groźnie szumiał, unosząc swe wzburzone wody.

5 Zbierajcie się! Już czas!

6 Można się pożegnać z rodziną?

7 Można!

8 Wystarczy już! Wystarczy!

W dworku był już spokój, gdyż niepożądani goście odjechali wraz z gospodarzem domu. Wkrótce wrócił i Romek z bochnem chleba, ale ojca już nie zastał. Uraz powstały z tego powodu towarzyszył mu przez całe życie.

Niedługo zaczęły się nowe represje, bo już przy końcu czerwca tegoż roku NKWD wznowiło deportację na Syberię. Teraz i rodziny zatrzymanych wieziono w nieznane. W przededniu wybuchu wojny Sowie-
tów z Niemcami deportowano sąsiadów: Weronikę Karczewską, rodzinę Piechowskich oraz starano się schwycić żonę i synów Jana Karczewskie-
go. Lato dawało większe szanse uniknięcia wywózki, gdyż można było nie przebywać w domu lub też czmychnąć w ostatniej chwili do lasu. Pomocny w tym był domowy pies, gdyż ostrzegał charakterystycznym szczekaniem. Inaczej zachowywał się, kiedy w pobliżu był wilk, a w inny sposób reagował na tych, którzy byli wrogami jego pana. Ostatnią zsyłkę w nocy z 19 na 20 czerwca 1941 r. również zaalarmowały psy. Okoliczni mieszkańcy całą noc wtedy przesiedzieli w krzakach lub na skraju lasu, a wystraszone kobiety wraz z dziećmi natężyły wzrok i słuch, starając się dowiedzieć, co się dzieje w ich domostwach. Od strony drogi docierał wówczas łoskot kół jadących furmanek, często lament kobiety, płacz dziecka lub głos enkawudzisty, pokrzykującego na swe ofiary.

Była wtedy czerwcową północ, kiedy głośnie pukanie do okna prze-
rwało sen czternastoletniemu Romkowi. Zerwał się z pościeli i wyjrzał przez okno. Po drugiej stronie stał zaniepokojony Julek Bielski – przyja-
ciel i pomocnik w pracach gospodarskich rodziny Karczewskich.

– Moją panią zabierają na Sybir! – nerwowo informował. –
W domu pełno enkawudzistów i zaraz po was przyjadą! – dodał.

– O Boże! – rozległ się głos pani Karczewskiej.

– Już biegnę, bo jeszcze zauważą, że mnie nie ma – powiedział i szybko się oddalił. Postanowiono natychmiast opuścić dom, udając się do pobliskiego lasu.

Od wschodu pojawiał się już zarys świtu, niebo było pogodne. Z sąsiednich domostw dobiegało głośnie ujadanie psów, a jeden stał na wzgórzu i przeraźliwie wył, wyrażając ból po utracie pani, którą zabierano w nieznaną podróż. Niedługo zabudowania państwa Karczewskich wypełniły się enkawudzistami i stało tam kilka furmanek, oczekujących na powrót mieszkańców. Rozpoczął się piątek 20 czerwca 1941 r. – dzień pełen niepokoju i niespodzianek. Na podwórzu, gdzie do niedawna byli żołnierze i stały furmanki gotowe do drogi, na razie zapanował spokój. W domostwie nawet zabrzmiał gong, jako sygnał, że zagrożenie minęło i można wracać.

Nastawał piękny poranek, a zza horyzontu wylaniało się różowe słońce, zapowiadając ładną pogodę. Romek ostrożnie skradał się w stronę dworku i drżał z powodu nocnego zimna i zdenerwowania. Poczul ulgę, kiedy ujrzał na drodze furmankę babci Olkowiczowej. Popędził w jej stronę i po chwili był już w ramionach bliskiej mu osoby. Wiedziona wewnętrznym niepokojem, przybyła natychmiast, bo wydarzenia z ostatnich dni napawały lękiem o córkę i dorastających wnuków. Miała już w więzieniu syna i zięcia. Zmęczone stresami serce z trudem wytrzymało tyle przeżyć naraz.

W lęku i niepewności upłynie jeszcze sobota, a po niej nastąpi niedziela – dzień wybuchu nowej wojny. Na frontach państwo sowieckie poniesie same klęski, a mimo wszystko NKWD będzie do końca ścigało niewinnych ludzi. Do ostatniej chwili starano się Karczewskich pojmać i rozstrzelać tylko dlatego, że nie dali się deportować. Wojska niemieckie,

posuwające się na wschód – udaremniły to. Tak rozpoczęła się następna okupacja Wileńszczyzny.

W czasie konfliktu niemiecko-sowieckiego w latach 1941–1945, a szczególnie po zawarciu układu między Sikorskim i rządem sowieckim, prześladowania NKWD nieco zmalały, ale po wkroczeniu wojsk sowieckich na tereny polskie – nasiliły się.

Najtragiczniejszym momentem był pierwszy tydzień od wybuchu wojny ZSRR z Niemcami, kiedy to na podstawie dekretów Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 22 czerwca 1941 r. „O wprowadzeniu stanu wojennego na wymienionych obszarach ZSRR” i „O stanie wojennym” ewakuowano więźniów w głąb Rosji. Z braku środków transportu goniono pieszo na wschód olbrzymie szeregi ludzi, którzy z braku żywności i wody słabli w drodze albo ginęli od kul i bagnetów eskorty. Trupy pozostawiano w przydrożnych rowach. W wielu więzieniach zabijano na miejscu, a niektóre kolumny rozstrzeliwano już w drodze.

Podobny los spotkał i mojego sąsiada, gdyż pan Karczewski już do swego Zarowia nie wrócił. Zginął, tak jak i inni, w Mikołajewie nieopodal Uły pod Witebskiem. Nawet po latach tajemnica zniknięcia tych ludzi nie została do końca wyjaśniona. Panu Karczewskiemu nie zapomniano tego, że po wojnie z bolszewikami zostawił rodzinne Suddziłowicze, wykorzystując możliwość nielegalnego przedostania się do Polski. Tu założył rodzinę, stwarzając podstawę jej bytu. Po aresztowaniu i tajemniczej śmierci jego najbliżsi w 1945 r. wyjechali do Polski. Nowi gospodarze dorobek pracowitego sąsiada przemienili w ruinę i miejsce to powoli zarastało bylinami. Po dworku w Zarowiu nawet ślad zginął, a już tylko zdziczałe pola, wspomnienia po dawnej świetności, nazywane są Karczewszczyzną.

2.

Był wczesny poranek 24 czerwca 1941 r. Od strony jeziora, Berezwicy i boru docierało rześkie powietrze, ale więźniowie nie odczuwali tego. Przez małe okna, zasłonięte deskami, przenikał tylko lekki zarys świtu, a wewnątrz warunki nie do opisanía. Z przepełnionego kibla powoli wyciekał mocz, podchodząc pod leżących na podłodze więźniów. Cela, wielkości dziesięciu metrów kwadratowych była zapelniona kilkudziesięcioma osobami. Jedni spali na leżącym, inni siedzieli w kucki, niektórzy zaś odpoczywali stojąc. Prycz wewnątrz nie było, a brak przepływu powietrza powodował duchotę. Opary ludzkiego potu i wyziewy z kibla drażniły drogi oddechowe. Większość więźniów jeszcze spała, gdyż przebyta noc była niespokojna, zakłócona głośną muzyką i rykiem silników spalinyowych. Wyjątkowe wydarzenia tej nocy zadziwiały wszystkich, bo nikogo nie brano na przesłuchania.

Pan Paweł Kozuch już nie spał i nasłuchiwał, gdyż coś niezwykłego działo się na korytarzu. Nastąpiła jakaś bieżanina i głośne tupanie ciężkich butów wojskowych. Więźniowie, żyjący jak gdyby w innym świecie, nie wiedzieli, iż od dwóch dni toczy się wojna, a oddziały niemieckie są już w pobliżu.

– Może to nowa wojna? – myślał. Dalej nasłuchiwał i wydawało mu się, że otwierają cele i wyprowadzają ludzi.

– Może ewakuacja? Głośny tupot podkutych butów nasilał się. Nagle zgrzyt zamka, w drzwiach uzbrojeni żołnierze surowym spojrzeniem ogarniający wszystkich.

– *Bystro wychodit'!*⁹ – ryknął jeden z nich. Wszyscy poderwali się, każdy złapał, co było pod ręką i szedł popychany kolbą. Wkrótce byli

na podwórku więziennym, gdzie największą rozkosz sprawiało świeże powietrze, tylko światło oślepiało. Było tam dużo ludzi różniących się wyglądem od tych, których wypędzano na zewnątrz.

– Jeszcze przyzwoicie ubrani, odżywieni, a na twarzach opalenizna – myślał.

– Co? Nowo aresztowani? – zadawał sobie pytanie, mierząc ich wzrokiem. Stopniowo dołączało do nich coraz to więcej i więcej ludzi. Niektórych znał osobiście, bo w tym więzieniu przebywał już długo. Pamiętał ten poklasztorny gmach. Wiedział, że w siedemnastym wieku polski magnat Eljasz Korsak wybudował w Berezwechu kościół i klasztor zakonu bazylianów. Ilość więźniów wzrastała, bo wszyscy wychodzili w pośpiechu ze swych katakumb i gromadzili się na podwórzu klasztornym. Wychudzeni, bladzi, w podartych łachmanach – wyglądali upiornie. Niektórzy nie mogli na nogach ustać. Obserwował tę niecodzienną scenę przy okazji przyglądał się znajomym, bo w pobliżu, z tobołkiem w rękę, stał Alchimowicz – nauczyciel z Plissy, a obok siedział, oparty na kiju, lekarz Michał Olechno-Huszcza. Był inwalidą, gdyż stracił nogę jeszcze podczas I wojny światowej.

– Tak niedawno leczył moje serce – myślał – a co teraz nas czeka? W tłumie rozpoznał Michała Bogowicza, który zamyślony patrzył na eskadrę lecących na wschód samolotów.. Ciężki, monotonny ryk wywoływał niepokój, ale poprawiał nastrój, bo każdy myślał, że tylko wojna rozstrzygnie szereg bolesnych problemów politycznych. Dla tych umęczonych nieszczęśników była jedyną szansą, jedyną nadzieją, jedyną perspektywą. Niektórzy przykładali ucho do wilgotnej ziemi, a ta błędnie przekazywała im echa toczącej się nieopodal wojny.

– Stało się! – myślał pan Michał, a jednocześnie zauważył świeżo

wykopane doły. Chciał je policzyć, ale i bez tego doszedł do wniosku, że było ich dużo. Teraz zrozumiał, dlaczego w nocy grała głośno muzyka i hałasowały dieslowskie motory. W pobliżu, pod ścianą, stał inwalidzki wózek, a jego obecność w tym miejscu świadczyła o losie właściciela. Powiewający wiatr od strony boru przynosił żywiczny zapach, a zza skraju lasu wyłaniała się czerwona kula słońca, zwiastująca skwar rozpoczynającego się dnia.

Powoli wytwarzały się grupy, spotykali się bliscy lub znajomi. Tak się zetknęli dwaj rodzeni bracia Dowborowie, stryjeczni: Antoni, Marcin i Stefan Braunowie oraz Karczewscy: Jan, Karol i Stanisław. Choć ze spotkania cieszyli się wszyscy, to jednak niepewność losu zatruwała atmosferę. Z zachowania się żołnierzy nie można było wyciągnąć pozytywnych wniosków i przeczucia były nie najlepsze. Potwierdzały to nocne akcje służby więziennej.

– Tyle wydarzeń naraz, że w głowie się nie mieszczą – powiedział Stefan Braun, nie spuszczać oczu z przelatujących samolotów.

– Niemieckie? – spytał pan Jan, lekko przecierając okulary.

– Z całą pewnością niemieckie!

– Jak je pan rozpoznaje?

– Z łatwością dostrzegam, gdyż tak niedawno strzelałem do nich z działek przeciwlotniczych – odpowiedział.

– Jaka ironia losu – dzisiaj liczymy na ich pomoc – dodał pan Jan.

– Pamiętam, jak to pod Lublinem było, waliliśmy z dział ile się dało, a później radość, gdy pikował taki jeden prosto w dół, pozostawiając za sobą smugę dymu.

W tym momencie otwarto bramę wejściową, dzięki czemu można było zobaczyć, co się działo na zewnątrz. W oczy rzucał się ogrom żołnierzy, milicji i straży więziennej. Część wojskowych siedziała na koniach, piesi zaś trzymali na smyczach specjalnie szkolone psy. Na poboczach stały furmanki przygotowane do drogi, a wszystkie załadowane dobytkiem i żywnością dla eskorty. Zewsząd dobiegał krzyk agresywnych grup żołnierskich. Wszyscy szykowali się do drogi i już nikt nie pamiętał, że więźniowie nie dostali śniadania składającego się z miski wrzątku i kawałka razowego chleba. Wśród więźniów byli mężczyźni przeważnie w sile wieku, ostrzyżeni na jeża, nieogoleni i brudni, niektórzy jeszcze w zimowych ubraniach, bo aresztowano ich w okresie chłodów, i kobiety – niektóre starsze, ale były też i młode, z pięknymi kruczymi włosami. Był tam też i mój kuzyn Bronisław Pławiński oraz bierzmowalny ojciec Stanisław Karczewski. Wysoki, szczupły, przystojny sąsiad zawsze odwiedzał nasz dom, kiedy przebywała w nim na wakacjach kuzynka z Borowiny – studentka Uniwersytetu Batoiego w Wilnie.

Zaczęto formować kolumny. Na przodzie ustawiano nowo przybyłych, ponieważ byli jeszcze silni i sprawni, ale był problem ze słabymi, którzy nie mogli iść. Byli zagłodzeni, a z powodu tortur i przebywania w karcerach – nie potrafili ustać na nogach. Takich umieszczano na końcu. Kolumna szeroka, bo w rzędzie szło po ośmiu więźniów, a teren obstawiony eskortą, która składała się z dużej grupy dobrze uzbrojonych ludzi. Załadowane furmanki miały jechać z tyłu, a na niektórych umieszczono osoby starsze i inwalidów. Wreszcie wszystko było gotowe do drogi i rozpoczynała się dramatyczna piesza wędrówka w warunkach upalnego lata, bez jedzenia i kropli wody. Dowódca konwoju, siedzący na koniu, oznajmił, iż wszelkie oddalenie się od kolumny, nawet o jeden krok, będzie traktowane jako ucieczka, a eskorta będzie strzelała wówczas bez

ostrzeżenia. Przez moment panowała cisza, ale po chwili padła komenda: „*Wpieriod! Szagom marsz!*”¹⁰ Nad kolumną wzbiła się szara masa kurzu, a ludzie wolnym krokiem posuwali się do przodu i tylko żołnierze z eskorty, na koniach, z pistoletami w ręku, przeganiali wszystkich podchodzących blisko trasy przemarszu. Przynieśli oni naczynia z wodą, paczki z żywnością, ale niczego nie udało się przekazać. Mieszkańcom ulicy Berezweckiej kazano zamykać okna, a przypadkowych przechodniów natychmiast przeganiano. Rodziny aresztowanych próbowały dostrzec bliskich i pożegnać ich chociaż gestem ręki.

Głębokie pozostawało już w tyle. Słońce prażyło niemiłosiernie, a kolumna żółtym krokiem wlokła się w nieznane. Rozpoczynała się Golgota więźniów z Berezwecza. Pogodne niebo sprzyjało intensywnym lotom niemieckich samolotów. Z oddali docierały detonacje bomb, wywołując u konwojentów agresję. Bagnety jeżyły się wówczas bardziej w pobliżu idących, a kolby lądowały na ich plecach. Tak dobrnęto do miejscowości Przewóz, gdzie ludność rozpoznała niektórych, a w szczególności Franciszka Śledziewskiego, bo wyróżniał się wzrostem. Jeszcze w Berezwechu spotkali się krewni i znajomi i tworzyli grupy bliskich sobie ludzi. Braunowie, Karczewscy, Bortkiewicz, Olkowicz i Pławiński – szli razem, wspierali się nawzajem i mieli wspólny zamiar czmychnięcia przy nadarzającej się okazji. Eskorta jednak zadbała, aby żaden świadek berezweckiej zbrodni nie wydostał się na wolność. Robiono wszystko, aby nie ukrył się w wysokiej trawie, zbożu, krzakach czy też w lesie.

Największym problemem byli więźniowie, którzy z braku sił lub okaleczenia nóg nie mogli iść. Dla zastraszenia rozpuszczano pogłoski, że słabnącym robią śmiertelne zastrzyki. Lęk mobilizował ludzi i resztkami sił wlekli się do przodu. Przyszedł moment, że i to już nie pomagało.

Na początku zabierano niektórych na furmanki, ale ludzie słabli masowo. Wówczas zaczęto zabijać ich strzałem w głowę, a ciała pozostawiano w przydrożnych rowach. Wojska niemieckie były już w pobliżu i echa wystrzałów mogły zdradzać obecność kolumny. Zatem zaprzestano stosowania broni palnej, a ofiary zabijano już tylko bagnetami. Kolumna z więźniami przerzedzała się.

Słońce minęło już zenit i kierowało się ku zachodowi. Zbliżał się koniec pierwszego dnia pochodu. Z pobliskich zagłębień terenu nadciągało wilgotne powietrze, a widoczny w oddali błękit dużego jeziora wzmagął pragnienie. Kolumna wydawała cichy szmer, gdyż większość więźniów szła już boso, a ich stopy krwawiły. Nad nią unosił się przykry, gryzący kurz, który osiadał na spoconych ciałach idących. Ciężkie westchnienia mieszały się z jękiem cierpiących, a czasem docierał też cichy, bo tłumiony przez strach, płacz kobiety. Nieraz wyrwało się pojedyncze słowo: „pić” – szybko podchwytywane przez kolumnę, a wówczas brzmiało ono groźnie, buntowniczo, powodując reakcję eskorty.

Kolumna resztkami sił wlokła się jeszcze, wkraczając na rozległą śródleśną polanę. Tu zarządzono nocny postój. Więźniom zabroniono rozmawiać, podnosić głowy, wstawać. Nieprzytomni ze zmęczenia kładli się pokotem i momentalnie zasypiali, tylko nieliczni m.in. Karczewscy, Braunowie rozmawiali szeptem. Niemcy deptali już po piętach. W Połocku front był nad Dźwiną, a i na innych odcinkach przesuwał się w błyskawicznym tempie. Tylko w kierunku Witebska droga była jeszcze wolna i tędy zmierzała berezwecka kolumna. Księżyc w pełni nie sprzyjał uwięzionym, gdyż do ucieczki potrzebowali raczej ciemnej nocy, gwałtownej burzy z deszczem i piorunami, ale takiej okazji w tej chwili nie mieli. Grupa więźniów z Bohuszewicz, Kuczynszczyzny, Prudnikowa, Szerśni i Zarowia prawie nie spała tej nocy. Echa niespodziewanej wojny

nie dawały spokoju. W oddali pojawiały się kolorowe rakiety, a strzały z cięższej broni przynosiły nadzieję.

- Jesteśmy zagrożeni – rzekł pan Marcin.
- To może źle się skończyć – dodał leżący obok Stefan.
- Dobrze by było, gdyby Niemcy odcięli drogę przemarszu.
- Jaki to ma wpływ na naszą sytuację?
- Sowieci będą musieli uciekać w popłochu.
- A co z nami?
- Po prostu zostawią nas samym sobie.
- Nie wiadomo, jak blisko front?
- Przypuszczalnie niedaleko, gdyż od strony Połocka docierają strzały armatnie, a ich samoloty latają nisko.
- A jeżeli Niemcy nie przetną drogi i będą błyskawicznie dalej nacierać?
- Wówczas nie zdążą się ewakuować i będą chcieli nas się pozbyć.
- Jak to uczynią?
- A no tak samo, jak się rozprawiają z tymi, którzy słabną w drodze. Leżą już martwi w przydrożnych rowach.
- Co w tej sytuacji robić?
- Trzeba wiać przy nadarzającej się okazji.
- Należy wykorzystać moment, kiedy wkroczymy na teren Puszczy Uszackiej – wtrącił pan Jan, ożywiając się nieco.
- Dlaczego koło Uszacza? – spytał pan Marcin.

– Bo tam są duże lasy.

– Pan zna te tereny?

– Oczywiście, że znam – dodał – są to moje rodzinne strony. Tam spędziłem dzieciństwo i wczesną młodość.

– To dobrze! Niech dobry Bóg nas prowadzi! – westchnął ciężko pan Marcin i zamilkł.

Sami nie wiedzieli, kiedy zasnęli. Nad polaną zawisła poranna mgielka, w naturze budziło się życie, a od wschodu widoczny zarys świtu świadczył, że nastaje dwudziesty piąty dzień czerwca – dzień nowych wydarzeń. Powoli widniało, wśród eskorty nastąpiło ożywienie i ludzie w czapach NKWD biegali wzdłuż kolumny, przynosząc nowe instrukcje o dalszej drodze. Po chwili ze wszystkich stron rozlegał się już rozkaz: „*Podjom! Podymajś!*”¹¹ Wystraszeni zajściami poprzedniego dnia więźniowie szybko wstawali i ludzkie mrowie ożywiało się.

Pan Michał, przejęty wojną, dalej obserwował niemieckie samoloty, które co jakiś czas obniżały się, przelatując nad kolumną. Piloci domyślali się, że są to więźniowie i po pierwszym przelocie zawracali i z niskiego pułapu siali z broni maszynowej po eskorcie. Jej żołnierze, ze względu na czerwone czapki, byli dobrym celem. Radowało to więźniów, ale i pogarszało ich sytuację. Przypuszczalnie już wówczas myślano, aby wszystkich wystrzelać i swobodnie uciekać na wschód.

Od kilku godzin kolumna wlokła się, a słabnących przybywało. Naraz utworzyło się istne piekło, kiedy eskorta poczęła zabijać bagnetami wyczerpanych więźniów. Powstało zamieszanie, rozległ się przeraźliwy krzyk, błagalny lament i jęki cierpiących. Śmierć przerzedzała szeregi, a ludzie w drgawkach, brocząc krwią, umierali na oczach innych. Utrzy-

mujący się jeszcze na nogach, resztkami sił szli dalej, gdyż innego wyboru nie było. Jednych ogarniała rozpacz, inni modlili się w skupieniu; niektórzy myśleli tylko o ucieczce.

Pan Marcin badał wzrokiem teren i marzył o przepastnych gęstwinach leśnych, które mogły przynieść wybawienie. Powoli włókł się wraz z innymi, a myślami był z żoną – młodziutką Helenką i maleńkim Stasiem. Przypominał sobie jego płacz, kiedy wraz z enkawudzistami opuszczał rodzinny dom. Przytulił wtedy synka – ten zaś małymi rączkami trzymał się mocno ojcowskiej szyi, a duże łzy płaczącego dziecka, spadały na jego policzek.

– *Puskaj płaczet! On poslednij raz widit otca!*¹² – odezwał się jeden ze strażników. Wypowiedziane słowa, niby zła wróżba, nie dawały dzisiaj spokoju. Szedł, a w myślach dziękował Bogu za zdrowie, wytrzymałość psychiczną i siłę, którą pragnął zachować do czasu wkroczenia na teren Puszczy Uszackiej. Głód i brak wody doskwierał, a odwodniona i wysuszona na prażącym słońcu skóra łuszczyła się i pękała, brocząc krwią. Omijano większe osiedla i miasta, żeby ciekawska ludność nie oglądała doprowadzonych do skrajności więźniów. Pozostawili za sobą Głębokie, Przewóz, Kowale, Hołubicze i kierowali się już w stronę Uszacza, gdzie trasa wiodła przez gęste lasy. Z oddali wyłaniały się już zwarte połacie leśne i zarys miasta Uszacz. Marzenia wielu więźniów powoli urzeczywistniały się, gdyż duży obszarowo las stwarzał możliwość ucieczki. Potrzebna tylko odwaga i dużo szczęścia. Niepokój ludzi z eskorty przeradzał się w agresję i jeszcze większe zezwierżenie. Napięcie wzrastało. Jedni pragnęli wyrwać się z okowów śmierci, drudzy zaś, powołani do zadawania jej, siali postrach. Las swym ogromem wchłaniał już ten niecodzienny

pochód i pobudzał wyobraźnię, dodając nieco desperackiej śmiałości.

Nagle ciszę spokojnego marszu zakłóciły strzały, a w kolumnie powstało zamieszanie. W tym czasie część więźniów oderwała się od kolumny i resztkami sił pędziła w stronę leśnej gęstwiny.

– Łożyś!¹³ – ze wszystkich stron rozległ się rozkaz i ludzie szybko kładli się na ziemi. Nad ich głowami gwizdały kule kierowane w stronę uciekających. W pogoń rzucili się strażnicy na koniach, a piesi szczuli psami. Wśród zbiegów był pan Marcin Braun i jako niedawny wojak umiejętnie unikał trafienia. Do gęstwiny było już blisko, ale większość uciekających zastrzelono. Pan Marcin biegł przed siebie, a wolność była tuż, tuż. Nagle w klatce piersiowej poczuł dławiący ból, a pod ręką ciepło własnej krwi.

– Słabnę – pomyślał. Upadł. Leżąc na wznak patrzył na błękitne niebo i wydawało mu się, że drzewa krążą, przysłaniając wszystko. Jasny dzień powoli pogrążał się w ciemnościach. Nagle nienaturalna jasność, a przeszłość w ulotnym mgnieniu stanęła przed oczyma. Wydawało mu się, że widzi swoją Helenkę i małego Stasia, ale wszystko powoli znikało. Niedługo dopadły go psy, ale on już tego nie czuł.

Gdzieś w głębi Puszczy Uszackiej jest bezimienna mogiła, a w niej znaleźli swój wieczny spoczynek uczestnicy ucieczki z ewakuacyjnej kolumny Berezwecza.

Reszta musiała iść dalej. Towarzyszyły im nieodłącznie skwar, głód, pragnienie i słabość fizyczna. Nadlatujące samoloty coraz częściej zabijały kogoś z eskorty. Michał Bogowicz rozpoznał w kolumnie szwagra, Konrada Rychtera. Szedł nieopodal, ale okaleczone nogi pozostawiały na drodze krwawe ślady. Trzeba było się z tym kryć, gdyż takich zabija-

no. Wkrótce jeden z żołnierzy to zauważył i od razu skierował bagniet w tamtą stronę. Pan Rychter złapał śmiertelne ostrze i chciał je odepchnąć, wydając przy tym przeraźliwy krzyk. Szwagier pośpieszył z pomocą, ale kolba karabinowa szybko wylądowała na jego plecach. Zataczając się od uderzenia, starał się utrzymać na nogach – Rychter zaś już nie krzyczał, tylko rzeził, leżąc na ziemi, przebity bagnetem. Po chwili drgające jeszcze ciało ściągano na pobocze drogi. Pan Michał, skrajnie wyczerpany, ledwo się włókł i cicho powtarzał modlitwę. Już wiedział, jaki los czekał wszystkich, dlatego też składał przyrzeczenia Bogu, prosząc o ocalenie. Chciał żyć. Teraz pojął, że życie jest cudem i najwyższym darem. Śmierć szwagra przygnębiła go, a tu znowu podobne zajście, gdy jeden z więźniów nagle zasłabł i upadł. Wszystko wskazywało, że jest epileptykiem, bo w drgawkach walił głową o ziemię. Szybko podbiegli żołnierze i przebili ofiarę bagnetami. Po chwili było już po wszystkim, a odsunięty na bok leżał niby nikomu niepotrzebny przedmiot. Bezsilność porażała i stan psychiczny idących ciągle się pogarszał. Beznadziejny marsz, w asyście ciągłych egzekucji, doprowadzał do rezygnacji, chociaż nikt nie uciekał tylko dlatego, żeby zginąć. Chcieli żyć!

Drugi dzień wędrówki zbliżał się ku końcowi. Droga w lesie była mniej uciążliwa, bo słońce nie prażyło, a las dawał ochłodę. Eskortą stała się wyjątkowo niebezpieczna, gdyż zastraszaniem próbowano zapobiec dalszemu ucieczkom. Był już wieczór i trzeba było znaleźć miejsce nocnego postoju. Pojawił się prześwit, świadczący o wolnej przestrzeni, a przez polanę przepływał strumień pełen czystej, chłodnej wody. Tu zarządzono postój. Wszyscy kładli się koło potoku i pili, pili nie zważając na nic, a woda, niby balsam, łagodziła pragnienie, głód, koła ból. Ludzie brali ją garściami i polewali zmęczone ciała – poprawiała nastrój, przywracała siły. Taka sobie zwyczajna woda, a człowiek bez niej nic nie znaczy.

Dalsze wydarzenia potoczyły się szybko. Jeszcze jedna noc spędzona na leśnej polanie i ponowny przyspieszony marsz na wschód. Rankiem 26 czerwca ewakuacyjna kolumna była już nieopodal Uły. Tu przypuszczalnie zapadła decyzja o rozstrzelaniu politycznych, bo uwięzionych za przestępstwo pospolite uwolniono – resztę zaś skierowano w stronę mostu nad Dźwiną. Tam zarządzono odpoczynek, gdyż potrzebny był czas na znalezienie i przygotowanie miejsca egzekucji. Po drugiej stronie rzeki, w ukryciu, na brzegu wsi Mikołajewo, ustawiono trzy ciężkie karabiny maszynowe, skierowane w stronę szosy. Niedługo zarządzono dalszy marsz, ale ludzie domyślili się do czego zmierzają oprawcy i masowo rzucali się z mostu do rzeki. Trafieni kulami ginęli w nurtach głębokiej wody. Pozostali szli już przez środek wsi, a przezuwając najgorsze, głośno informowali mieszkańców, że przyszli tu z Głębokiego. Jednocześnie prosili o wodę, ale eskorta nie dopuszczała do wystawianych przez mieszkańców naczyń. Na dużym skrzyżowaniu w Mikołajewie, skąd brały początek drogi w kierunku Witebska, Połocka, mostu nad Dźwiną i Kordonu, kazano wszystkim położyć się. Na tej linii, wzdłuż rzeki, przebiegała ongiś granica z Rosją po I rozbiórce Polski. To miejsce obrali oprawcy dla dokończenia swych zbrodniczych zamiarów. Z nadciągających furmanek zdejmowano więźniów chorych, słabych, inwalidów i układano na szosie tuż obok leżącej już kolumny.

W górze krążyły samoloty i siały ponownie z broni maszynowej po eskorcie. Tu również część enkawudzistów zginęła. Złowieszczy moment był blisko. W tym czasie samolot zrzucił bombę. Podmuch, wywołany wybuchem, zepchnął pana Michała na dno przydrożnego rowu, a straciwszy przytomność, leżał w nim nieruchomo przywalony ziemią. Kiedy oprzytomniał – był już wolny.

Pan Paweł Kożuch, widząc na co się zanosi, na rozkaz „*łóżyś*”¹⁴ z rozmysłem upadł na skraju szosy, obok rowu, drzew i krzaków. W tym czasie złowroga cisza pękła i niby piorun zagrzmiąła kanonada karabinów maszynowych. Pan Paweł sam nie wiedział, kiedy znalazł się na dnie rowu. Nad głową gwizdały kule, a trafieni więźniowie umierając zsuwali się w dół. Czuł na sobie ciężar martwych ciał i ciepło ściekającej krwi. Tuż ponad jego głową, na szosie, zaistniało istne piekło. Ludzie unosili ręce do góry i błagali Boga o ratunek. Jedni, umierając, wykonywali ruchy przypominające taniec śmierci, inni zaś wstawali i jeszcze biegli, ale trafieni upadali na wznak i dzielili los z tymi, którzy już się nie ruszali. Głośnie strzały, tak jak się nagle pojawiły, tak samo nagle ustały. Na drodze, wśród zabitych, byli już pierwsi strażnicy z psami i dobijali rannych. Nad martwymi uwijała się młoda dziewczyna o semickich rysach i udając sanitariuszkę, wyszukiwała jeszcze żyjących więźniów. Najgorsze powoli mijało i wokół zapadała grobowa cisza. Wtedy słyszał wzmożone uderzenia własnego serca.

– Wali niby młot, mogą usłyszeć to oprawcy – z obawą myślał. Z trudem oddychał, bo martwi, do niedawna jego przyjaciele, przygniatli go swym ciężarem. Próbował wydobyć się, ale każdy ruch mógłby go zdradzić. Wydawało mu się, że nieżywi ciągną go do grobu. Nagle usłyszał, że żołnierze liczą zabitych, a przy tym brali niektórych za nogi i wlekli do przydrożnego rowu. Jeszcze bardziej przywalony ludzkimi ciałami sądził, że wyzienie ducha.

– *Tysiacza siemsot siemdziesiąt tri ubitych*¹⁵ – jeden z żołnierzy poinformował dowódcę.

– Zaliczono mnie do „ubitych” – pomyślał i bał się grabarzy

14 padnij

15 Tysiąc siedemset siedemdziesięciu trzech zabitych.

w czerwonych czapach.

– Zaczną ściągać wszystkich do jednego dołu, a wówczas rozpoznają. Planował ucieczkę, ale starał się wybrać odpowiedni moment. Najpierw pozbył się ciężaru nieżyjących już więźniów, a następnie nieśmiało wystawił głowę i obserwował otoczenie. Promienie słońca zaostrzały czerwień krwi, a wysoko krążyły czarne ptaki. Ich widok powodował mroczne odczucia. Od strony północnej widniał las, a nieopodal stał drewniany zrąb. Prosił dobrego Boga, aby ułatwił mu ucieczkę w tym kierunku, gdyż innych możliwości nie było.

– O, gdyby dostać się do zrębu! – myślał. Błyskawicznie wyskoczył z rowu i jak strzała mknął w tamtą stronę. Słyszał, jak obok gwizdały kule i nasilało się ujadanie psów. Krótki moment był wiecznością. Upadł przed drewnianą ścianą i począł gramolić się do środka. Wydawało mu się, że ktoś za nim biegnie. Wyjrzał przez dolną szparę i dostrzegł leżącego człowieka o cygańskich rysach. Na jego plecach widniała czerwona plama. Chciał go wciągnąć do środka, ale ten już nie dawał znaków życia. Szybko wyskoczył na drugą stronę i pędził niby strzała w kierunku lasu. Drewniane ściany chroniły go przed trafieniem, ale ujadanie psów było coraz głośniejsze.

Tuż obok był staw, zarośnięty szuwarami, gdzie szybko zanurzył się w błotnistej wodzie i schował pod krzak wikliny. Po chwili psy już biegały wzdłuż brzegów, ale opatrność chroniła go i tym razem. W wodzie odczuwał błogi chłód. Serce waliło, a on czekał na dalszy bieg wydarzeń. Psy wróciły na swoje miejsce. Wyszedł ze stawu i biegł w kierunku lasu. Strach gnał go tak, że nawet nie spostrzegł, kiedy był już po jego drugiej stronie. Był wolny. Upadł, a z radości chciał objąć całą kulę ziemską i płakał ze szczęścia.

– Boże! Dziękuję za wolność! Dziękuję Ci... – nieskładnie odmawiał zaimprovizowaną modlitwę. Wkrótce wstał. Był na wysokim brzegu rzeki i z rozkoszą patrzył na roztaczającą się panoramę, w której wśród morza zieleni i barwnych kwiatów ciągnęło się szerokie pasmo modrej Dźwiny. Słońce, kierujące się w stronę zachodu, odbijało promienie od lustrzanej wody i dachów Uły, a tuż za rzeką, na wzniesieniu, widniał biały, nieczynny już, kościół. Jego obecność, w tym obcym i strasznym miejscu była mu bliska. Po lewej stronie sterczały ostrza zbombardowanego mostu, przez który niedawno szła jeszcze jego kolumna. Po niebie snuły się bombowce, a kanonada armatnich strzałów świadczyła, że wojna zataczała coraz większe kręgi. W spokoju i głębokiej zadumie patrzył na zachód, bo tam daleko za horyzontem był jego kraj i rodzinny dom.

3.

Pozostawione ślady zbrodni, najpierw w więzieniu, a następnie w Mikołajewie nad Dźwiną, długo jeszcze zaprzątały umysły kresowych Polaków. Wręcz obsesyjnie, przy różnych okazjach, do nich powracano. W domach trwała żałoba, a wspomnienie z pięknych lat jeszcze niepodległej Polski, przyczyniały się do większej frustracji i przygnębienia. Nowa okupacja, teraz niemiecka, jeszcze bardziej pogłębiała te nastroje, gdyż ponownie prześladowano Polaków, głównie inteligencję, byłych oficerów i duchowieństwo.

Tak jeszcze niedawno odwiedzały nas kuzynki z Borowiny, a wówczas dom wypełniał się młodzieżą, sąsiedzi byli jeszcze młodzi i chętnie spędzali czas w towarzystwie ładnych dziewczyn. Potem wszystko przeminęło, opustoszały domy, jednych aresztowano, innych zaś deportowano na Sybir. Pozostawały już tylko wspomnienia, żal po utraconej wolności

i cicha modlitwa za tych, którzy odeszli w tak młodym wieku. Nieliczna garstka ocalałych trwała w ciągłym lęku.

Nad miejscami, gdzie działy się rzeczy straszne, powiewa ten sam kresowy wiaterek i przepływająca Dźwina szemrze cicho niby odmawiana modlitwa za duszę Tych, którzy znaleźli tu wieczne spoczywanie. Miejsce to napawa wewnętrznym niepokojem i wprowadza w refleksyjną zadumę. Tamte czasy odchodzą w niepamięć. Pozostają po nich jednak zbiorowe mogiły z tysiącami pomordowanych. Jedną z nich jest ta w Mikołajewie, na trasie Połock–Witebsk z prochami Braunów, Bojnarowiczów, Dworów, Karczewskich, Tkaczów i blisko dwóch tysięcy innych. Niech pamięć o nich zostanie na zawsze!

4.

Sprawa berezwecka zbiegła się z ważnymi wydarzeniami w mojej rodzinie. W maju 1941 r. udaje się zbiec z sowieckiego łagru wujowi Henrykowi. Był oficerem zawodowym w randze kapitana i brał czynny udział w kampanii wrześniowej. Po klęskach na froncie zmierzał wraz z innymi ku granicy rumuńskiej. Przejście zbiorowe było już niemożliwe, ponieważ wojska sowieckie odcięły wszystkie szlaki. Próbuje więc przejść granicę, jako cywil, z dokumentami na nazwisko Alfons Kukiel. Zamiar się nie powiódł, bo zatrzymała go straż sowiecka, a „trójka” w Moskwie skazała na pięć lat łagrów na terenie republiki Mordowia.

Administracja obozu próbuje wykorzystać jego zawód geodety do pomiarów okalającego terenu. Częste przebywanie poza obrębem łagru przyczynia się do zamysłu ucieczki. Udaje mu się przemyścić do obozu

nożyce do cięcia drutu i żywność na drogę. Do swego planu zachęca dwóch kolegów, z Wołkowyska i Grodna. W ciemną majową noc zgrana trójka wycina otwór w ogrodzeniu i wydostaje się na wolność. Próbuja zmylić ścigających, przemierzając najpierw odcinek leśny, a następnie mokradłami idą ponownie w kierunku łagru, gdzie w gęstwinie nieopodal obozu czekają na oddalenie się pościgu. Plan się powiódł, niedługo będą w Witebsku. Największą przeszkodę stanowiła rozległa Moskwa, ale udało się zaszyć w wagonie pociągu towarowego, który zmierzał w kierunku zachodnim przez Moskwę, Smoleńsk, Orszę i Witebsk. Głód i ciągłe stresy wyczerpały ich do tego stopnia, że brakowało im sił do kontynuowania ucieczki, choć dotychczas wszystko szło gładko. W lasku na skraju Witebska przeprowadzają naradę, co mają robić, gdyż brak już żywności i pieniędzy. Do sprzedania pozostał tylko koc, ale kto pójdzie z nim do miasta. Pociągnięto losy i wypadło na wuja Henryka. Długo błakał się, szukając bazaru, ale na szczęście władał rosyjskim i znał dobrze żargon białoruski. Wreszcie znalazł upragniony jarmark i nieśmiało przyglądał się przekupkom, gdyż tylko one mogły kupić.

Patrzył na nie, a w głębi duszy bał się, że przez głupotę lub chęć zdobycia pieniędzy za donos, mogły przyczynić się do nieszczęścia. „Jak tu lepiej trafić? Na mądrą czy głupią” – myślał.

– *Możet byt' kupitie u mienia odiejało!*¹⁶ – zwrócił się do jednej z nich.

– *Ty czto? Na wodku prodajosz!*¹⁷ – z ironią spytała baba.

– *Niet! Prosto dieńgi nużny!*¹⁸ – odpowiedział. Zmierzyła go badawczym wzrokiem, ale kocem zainteresowała się, bo był gruby, mięk-

16 Może kupi Pani koc?

17 Co? Na wódkę zbierasz?

18 Nie! Potrzebuję pieniędzy.

ki i z kolorowej wełny. „Dobrze, że wyglądam na pijaka” – pomyślał. W lichym, zniszczonym odzieniu, bez kąpieli, w niczym nie przypominał oficera wojska polskiego. Przystojny dwudziestosiedmioletni mężczyzna z szelmowskim ciemnym wąsikiem, bokobrodami i kędzierzawą czupryną – dzisiaj miał wygląd włóczęgi. Nie przejmował się tym, a po sprzedaży rozglądał się za prowiantem na dalszą drogę. Kupił parę bochenków chleba, kielbasę i kawałek gotowanego mięsa. Starał się jak najmniej rozmawiać z ludźmi, bo wiedział, że pełno tu obserwatorów z NKWD. Sam zaś przysłuchiwał się rozmowom i wszystko obserwował. Domyślał się, że są ścigani listem gończym, a więc wszystkie drogi prowadzące na zachód będą obserwowane. Dalej interesowała go żywność, gdyż trochę grosza pozostało, ale złe przeczucia nie dawały spokoju. Przystanął jeszcze koło kobiet sprzedających białoruskie *lepioszki*¹⁹ i tam usłyszał, jak rozmawiały o dwóch złapanych więźniach. Po ciełe przeszły mu ciarki, ale spokojnie kupił upatrzonego produkt i szybko się oddalił. Ziemi nie czuł pod nogami, kiedy zaniepokojony szedł na umówione miejsce. Tam od razu przekonał się, że kobiety mówiły prawdę. A że miejsce to mogło być pod obserwacją – szybko opuścił je, wszedł między krzaki i głębokim jarem podążał w kierunku Dźwiny. Był po jej prawej stronie i wiedział, że będą kłopoty z przeprawą, bo tam są na pewno punkty obserwacyjne. Doznał ulgi, kiedy duże miasto, pełne nieoczekiwanych pułapek, pozostawało już w tyle. Szedł wzdłuż rzeki, a ochłonawszy nieco myślał o towarzyszach podróży, którym współczuł i boleśnie przyjmował fakt, że z trudem przebyta podróż, nie do końca była udana. Podążał coraz dalej i dalej, a przed nim rozciągały się równinne przestrzenie kołchozowych pól. Z oddali wyłaniały się stogi ze słomą, cieszył się na ich widok, gdyż miał gdzie spędzić czas do zmierzchu. Wiedział, że do domu jeszcze da-

leko i ten odcinek drogi najlepiej przebyć nocą. Wnet zauważył wysokie wzniesienie, porośnięte drzewami. Postanowił z góry zbadać okolicę i schronić się przed ciekawskimi. Niebawem stał już na jego wierzchołku i patrzył na zachód, jego równinną przestrzeń pokrytą bujną zielenią i lasem. Powiew ciepłego wiatru od tamtej strony rzeki przynosił orzeźwienie i zapach kwitnącej czeremchy. Pierwszy raz odczuł ulgę i rosła nadzieja szczęśliwego dotarcia do rodzinnych pieleszy. Patrzył, a wspomnienia z niedawnej przeszłości nie dawały spokoju, w tak krótkim czasie tyle zaszło, tyle się zmieniło. Jeszcze niedawno żył jego ojciec i była Polska, a przyjazd na przepustkę z wojska stawał się świętem rodzinnym. Dzisiaj ściagało go NKWD i upiorne widmo gułagu.

Tam daleko, hen za równiną, było jego Wejtkowo, ale drogę do niego przecinała jeszcze groźna Dźwina. Taka piękna, a taka niebezpieczna.

5.

Wiosna 1941 r. była trudna, bo enkawudowskie represje powodowały, że ludzie bali się nawet własnego cienia. W każdym nieznanym widziano donosiciela lub prowokatora.

Wczesnym majowym rankiem, kiedy goniłem krowy na pastwisko, spostrzegłem, że ze stodoły wyszedł obcy człowiek, który prawdopodobnie spędził tam noc. Nieznajomy szedł w kierunku domu, a przechodząc zwolnił nieco kroku, spojrzał na mnie i wydawało mi się, że był przejęty moją obecnością. W jego zachowaniu było coś bliskiego, a ciemne oczy przypominały kogoś. Trudno mi było uświadomić sobie, gdzie mogłem spotkać człowieka, który wyglądem przypominał raczej brodatego wędrowca z rosyjskiego wschodu. Zmierzył mnie wzrokiem, ale o nic nie

pytał, tylko z trudem przestawiając zmęczone nogi, powlókł się dalej. Obejrzałem się, a on, czyniąc to samo, szybko odwrócił głowę i przyśpieszył kroku. Zagadkowa postać nie dawała mi spokoju, zatem obserwowałem go i widziałem, jak wszedł na ganek, ale zatrzymał się pod drzwiami, jakby przysłuchiwał się rozmowie. Nagle coś go spłoszyło, gdyż szybko wyszedł i z tobołkiem w ręku zmierzał już w kierunku Borowiny. Głośna rozmowa sąsiadki z mamą być może go wystraszyła.

W gospodarstwie wuja Bolesława w Borowinie czynione były porządki wiosenne. Z samego rana krzątał się on po podwórku, a że miał dużą łysinę był rozpoznawalny z daleka. W pewnej chwili spostrzegł, że z pobliskiego lasu podąża ktoś w jego kierunku. Z zainteresowaniem przyglądał się idącemu, dotychczas nie spotkał kogoś podobnie ubranego. Nieznajomy był już tak blisko, iż dostrzegalny był uśmiech na jego twarzy i promieniująca radość w ciemnych oczach.

– *Dobryj dzień*²⁰, panie Stoma! – przywitał go z białoruska.

– *Dobryj dzień!* – mruknął, nie ukrywając zdziwienia, wuj Bolesław.

– *Szto, pan mianie nie paznajesz?*²¹ – pytał przybysz.

– *Nie... nie paznaju* – odrzekł wuj.

– Jaż Kustuś z Krywicz! Pan mienia nie pomnisz?

– Nie...

– *Ja u pana letaś lubku bobu kupiu.*²²

20 Dzień dobry

21 Nie poznaje mnie Pan?

22 W ubiegłym roku kupiłem u Pana garniec bobu.

– *Łubku?... Bobu?... Letaś? Jaj Bohu nie pomniu.*²³

Rozmowa ustała, bo na twarzy przybysza pojawił się wyraźny uśmiech, co świadczyło, że celowo wprowadza w błąd rozmówcę. Wuj Bolesław spoważniał, a w oczach pojawiło się zdziwienie i niepewność. Różne przypuszczenia bombardowały świadomość, powodując chwilowe osłupienie. Nagle z twarzy zniknęła powaga, a zjawiał się uśmiech.

– Cooo? Heniuś! – wypalił, jak z karabinu.

– Tak! To ja – spojrzawszy w oczy odpowiedział.

Zapanowała cisza. Padli sobie w ramiona, a łzy im spływały po policzkach. Co czuli w tym momencie – tego już nikt się nie dowie. Wiry wydarzeń dziejowych rozdzielają ludzi, rzucając ich do odległych zakątków świata. Nie potrafią jednak zabić w nich chęci powrotu do rodzinnych stron.

– Heniuś! Bój się Boga, jakżeś ty u nas się znalazł? – uradowany i zaskoczony pytał wuj Bolesław.

– Zwiąłem, gdyż byłem sprytniejszy niż całe to NKWD – chwalił się wuj Henryk.

– Aleś ty się zmienił! Nie jesteś do siebie podobny.

– A wiesz! Dobrze, że chociaż żyję.

– Dlaczego taka twarz obrzmiała?

– A to od głodu, a na ciele pełno dystroficznych wrzodów.

– I teraz jesteś głodny?

– Poniekąd tak. Po drodze chciałem wstąpić do Jadzi, ale u niej kobiety rozmawiały głośno i nie odważyłem się wejść. Widziałem tylko,

jak Rafał krowy wyganiał na pastwisko. Nie wszedłem, gdyż mogła rozpoznać przy obcych, a wówczas wiesz...

– Chodź do mieszkania.

– Jeszcze zaczekaj. Najpierw trzeba omówić pewne sprawy, bo na pewno będą mnie poszukiwać. Nikt nie powinien wiedzieć o moim powrocie. Dlatego też udawałem kogo innego.

– Przyniosę ci coś do zjedzenia.

– Jeszcze nie. Powiedz, kto jest w domu?

– Józia, Janka, Renia, no i dwie najmłodsze.

– Trzeba je odpowiednio ustawić, aby zachowały całkowitą dyskrecję, ponieważ w przeciwnym razie wszyscy pojedziemy na Sybir.

– A co słyszać Bolesławie?

– Złe wieści, bo od półtora roku trwają aresztowania i deportacje na Sybir. Wszyscy już wiemy, że NKWD ma już nowe wykazy planowanej wywózki.

– Czy kogoś z naszych aresztowali?

– Franka Śledziewskiego, Bronka Pławińskiego, Józka Bojnarowicza, trzech Braunów, Karczewskich i wielu innych.

– Gdzie są zamknięci?

– Wszystkich w Berezeczu trzymają.

– Tam przecież nie ma więzienia.

– Klasztor zamienili na ten przybytek.

– Co ty powiesz?...

Chociaż był wyczerpany i głodny, to radość spotkania z kimś bliskim trzymała go. Chciał ze szwagrem omówić szereg pilnych spraw, a szczególnie tych, które miały związek z jego pobytem w Borowinie. Miejsce to, z racji swego odosobnienia – nadawało się do tego. Wypytywał o wszystko, a sam cieszył się z głębi duszy, że trudny okres miał już za sobą. Można tylko wyobrazić sobie radość człowieka, którego odwaga, inteligencja o przeczność przyczyniła się do wprowadzenia w błąd ponoć nieomyślnej maszyny NKWD i powrotu na łono rodziny. Najważniejsze, że był już wśród swoich i we własnym kraju. Wiosenne słońce przygrzewało, a intensywne barwy ukwieconych łąk i pól cieszyły wzrok, przynosząc radość. Mimo wszystko bolał nad tym, że Polska nadal była w uścisku wroga i wiedział, że ruch oporu był nieunikniony. „Taka to już żołnierska dola” – myślał.

– Coś posmutniałeś, Henryku?

– A tak sobie myślę, że do końca wojny jeszcze daleko, bo Niemcy na pewno ruszą na Moskwę, gdyż po rozdzieleniu Polski – brak wspólnych interesów. Ale rozgadałem się. Teraz idź, Bolesławie, do domu i przygotuj kobiety. Wiesz, jaka jest Józia. Chciałbym, aby nie było za dużo płaczu i hysterii.

– Już lecę!

Szybko szedł w kierunku domu. Tam nie dało się od razu przekonać i uspokoić kobiet, bo jak piorun z jasnego nieba spadła na nie dobra wiadomość i poruszyła do głębi.

Będąc już na borowińskim wzniesieniu rozglądał się dookoła. Tamhen za mokradłami widniała Zabiehlica – znana z ładnych dziewczyn. Tuż obok była Drabowszczyzna, a w kierunku Zadoroża, jak na dłoni – posia-

dłość Szukstów. Wzrok zatrzymał się na kościele zadoroskim, a strzelisty gotyk i błyszczące wieże, w świetle majowego słońca, inspirowały do wspomnień i zadumy. Przychodziło na myśl dzieciństwo i wiek młodości, spędzany właśnie tam. Góra, na której stała świątynia, od dawna była owiana legendami i historią, gdyż tutaj w XVII wieku oddziały polskie odniosły zwycięstwo nad Rosjanami i na pamiątkę tego król Zygmunt III Waza ufundował kościół. Dzisiaj jego widok oddziaływał na wyobraźnię i pobudzał do refleksji nad tym, co niedawno się wydarzyło. Stał i patrzył na niego, a w duchu dziękował Najwyższemu, że wyrwał go ze szponów gułagu i przywiódł ponownie na łono domowych pieleszy. Ciepły wiatr powodował orzeźwienie i radość, a dźwięczny śpiew skowronków przynosił na grunt rodzimej natury. Wyzwalała ona aktywność, chęć do życia i umiłowanie wolności, dając poczucie piękna i szczęścia.

Wkrótce wuj Bolesław powrócił. Był uradowany, ale i nieco spięty, gdyż długo musiał uspokajać kobiety, które, z racji swej nadwrażliwości, nie mogły ze spokojem przyjąć nagłej, radosnej nowiny.

- I co tam Bolesławie?
- A wiesz, baby wariują z radości i biegają wręcz nieprzytomne.
- To już chodźmy!

Od strony lasu, prościutką drożyną, szli obaj uradowani i nie wiedzieli wówczas jeszcze, że po 22 czerwca zmieni się układ polityczny, rozpoczyna się nowe, ale groźniejsze w swej wymowie, problemy. Wiosna wtedy była piękna, ale i bogata w wydarzenia rodzinne i międzynarodowe.

Osobiście nie wiedziałem, że wuj Henryk powrócił. Mijały dni, tygodnie, a po tajemniczym wędrowcu na razie ślad zagał. Tylko mama wtedy stała się bardziej skryta i częściej odwiedzała dom wuja Bolesława

oraz rodzinne Wejtkowo.

Zagadka przybysza ze wschodu wyjaśniła się dopiero w pierwszych dniach okupacji niemieckiej, ale dla wuja Henryka okazała się ona jeszcze bardziej tragiczna w skutkach. Niedługo cieszył się wolnością, bo miejscowi wrogowie Polaków, a zwłaszcza ówczesny proniemiecki wójt w Plissie przyczynili się, iż władze okupacyjne rozstrzelały go w Głębokiem wraz z czterdziestoosobową grupą działaczy podziemia 4 lipca 1942 r.

6.

Powtórny powrót władzy sowieckiej na tereny Wileńszczyzny przyczynił się do ponownych aresztowań: akowców, tak zwanych kułaków, resztek przedwojennej inteligencji, a w końcowym etapie – przyszła kolej i na nas.

Ja i moi koledzy byliśmy już uczniami szkół średnich, wychowani w domach polskich, gdzie zakorzenione były tradycje powstańcze, reagowaliśmy w sposób szczególny na wszelką niesprawiedliwość. Trzecia z kolei okupacja niszczyła wszystko, co polskie. Naszą reakcją na to, było tworzenie grup patriotycznych w szkołach, dzięki nim lepiej poznawaliśmy swój język, historię, kulturę i korzenie tożsamości. Kiedy byliśmy już starsi, stawialiśmy sobie za cel zdobywanie wiedzy wojskowej, hartowanie ducha, zdrowia, siły woli. Nasze inspiracje brały początek z twórczości Mickiewicza, a filomaci i filareci byli tego przykładem.

Przejaw wszelkiej polskości był niemile widziany przez personel pedagogiczny, w związku z tym zarzucano nam brak świadomości socjalistycznej. Wyśmiewano nasz język, religijność, zwyczaje, a nawet polską

grzeczność. Przodował w tym sam dyrektor szkoły średniej w Łużkach – zrusyfikowany Białorusin pan Miskucionak. Antypolskość przejawiał również wykładowca historii ZSRR – Malko. Pan dyrektor pokpiwał zawsze z pozostałych jeszcze polskich wykładowców, a byli to: pani Stasi-kowa – matematyk i pan Wachnianin – matematyk i językoznawca. „*Pania prafiesar*²⁴ *Stasikowa i pan prafiesar Wachnianin*” – ironicznie powtarzał w kółko. Pan Wachnianin nie przejmował się mową ograniczonego dyrektora, gdyż wysoko siebie cenił, jako fachowca. Lubił sobie czasem kielicha wychylić, ale robił to w gronie własnych przyjaciół. Jaką radość sprawiał nam fakt, kiedy nasi pedagodzy, pod nieobecność dyrektora, rozmawiali z nami po polsku. Za przejaw polskości pan Wachnianin został później relegowany ze szkoły. Rejonowe władze oświatowe ocknęły się dopiero wówczas, kiedy sfrustrowany profesor przewiesił dwie zgrzebne torby przez ramię i włączył się po terenie, żebrząc na utrzymanie. Pomysł był ryzykowny, ponieważ bezpieka mogła aresztować profesora, a wówczas pojechałby do łagru. Chwył się udał, bo staruszka z długą brodą ponownie przyjęto do pracy w szkolnictwie.

Mnie zaś w tym czasie udaje się dostać na studia w Akademii Rolnej w Hori Horkach pod Orszą. Tam będę przebywał tylko osiem miesięcy, gdyż pod koniec marca 1950 r. podzielę los moich aresztowanych już kolegów.

Zbliżał się czas ogólnej kolektywizacji zachodniej Białorusi a przedsięwzięcia te wlokły za sobą zawsze represje. Tak też i tym razem było. W celu zastraszenia zamykano do więzień opornych rolników, a ich mienie zagarniano do powstających gospodarstw kolektywnych. Podobny los spotkał 30 listopada 1949 r. i mojego wuja Zygmunta Juskiewiczza. Zarzucano mu niepłacenie podatków za gospodarstwo w Wejtkowie,

które od wielu już lat było własnością miejscowego kołchozu. Pod presją rejonowej komórki partyjnej (*Rajkom*²⁵) w Podswilu, miejscowy sąd skazuje go na 10 lat łagrów, 5 lat zsyłki i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. W areszcie przebywa w Podswilu, a następnie w Berezweczu. Po skazaniu wysyłają go do łagru w Głazowie (Udmurdia). Tam przez siedem miesięcy pracuje jako cieśla, a jednocześnie nie zaprzestaje starań o rewizję wyroku. Z braku winy, decyzją Sądu Najwyższego w Mińsku, zostaje zwolniony w lutym 1951 r. Władze partyjne w Podswilu, nie dając za wygraną, szybko wciągają go na listę deportacyjną i wraz z żoną, maleńką Jolą i innymi mieszkańcami tego województwa wywożą do Jużnokazachstańskiej *obłosti*.²⁶ Tam urodził się im syn Henryk. Do Polski wraca w listopadzie 1956 r.

Ocalałych rodzin polskich było już niewiele. Największym ośrodkiem polskości pozostawało tylko Wilno, gdzie koncentrowała się jeszcze silna konspiracja litewska i polska. To z Wilna przybył ktoś nieznany i założył podziemną organizację w naszym regionie, która nosiła nazwę: „Polskie Narodowe Siły Zbrojne”. Składała się ona z oddziałów partyzanckich i grup młodzieży kształcącej się, która miała zostać awangardą przyszłych ruchów opozycyjnych, gdyż III wojna światowa, jak się nam zdawało, wisiała wówczas na włosku.

Stało się inaczej. Podzieliliśmy los starszego pokolenia.

25 Powiatowy Komitet
26 województwa

ARESZTOWANIE

Contra vim non valet ius

– Prawo jest bezsilne wobec przemocy

Byłem wtedy studentem pierwszego roku Akademii Rolnej w Hory Horkach nieopodal Orszy. Obchodziła ona w tym czasie jubileusz 120-lecia istnienia. Wspominam mile tamte czasy, ponieważ było się młodym, a studiowało tam jeszcze sporo Polek i Polaków z dawnych kresów wschodnich. Tworzyliśmy zgraną i jeszcze niewynarodowioną grupę, ale nieszczęście jakie miało mnie spotkać, wisiało już na włosku.

Dwudziesty trzeci marca 1950 r. był najtragiczniejszym dniem w moim życiu. Czas nie wymazał tego z pamięci i aż ciarki po skórze przechodzą, kiedy o tym myślę. Dzień był wtedy słoneczny, a pierwszy powiew ciepłego wiatru spowodował roztopy, świadczące o zbliżającej się wiosnie. Na polach powoli znikał śnieg. Pamiętam, że w tym dniu wczesnym rankiem obudził mnie jakiś szum. Koszmarne sny, jakie miałem tej nocy, spowodowały, że wstałem zmęczony i osłabiony. Przeczucia były tak mroczne, iż zdawałem sobie sprawę z tego, że coś złego musi się wydarzyć. Tak też się stało, ponieważ w tym dniu zostałem aresztowany przez bezpiekę. Spodziewałem się tego, bo niektórzy koledzy już podzieliли ten los kilka miesięcy wcześniej. W związku z tym byłem ostrożny i starałem się nie ułatwiać im zadania. Wracając do akademika nie otwierałem drzwi pokoju na całą szerokość, gdyż sądziłem, że mogli tam na mnie czekać. Myliliem się – oni to przewidzieli. Wykorzystali czas, kiedy byłem na zajęciach. Wezwano wówczas kolegę Mikołaja Jakimienkę, który był agentem bezpieki, działającym w naszym środowisku. Myśmy o tym nawet wiedzieli. Miał im ułatwić schwytanie mnie w taki sposób,

aby odbyło się to niepostrzeżenie i dyskretnie. Jakimienko był Rosjaninem. Żołnierz czołgista w czasie wojny, zdemoralizowany do skrajności, a wyglądał niby beczułka na krzywych podpórkach. Pochodził z Brańskiej obłosti¹, gdzieś spod Unieczy. Dotychczas pracował w kołchozie. Nie potrafił ukryć prymitywizmu myślowego i ubóstwa wartości duchowych. Chętnie się, że w Niemczech rozjeżdżał czołgiem kolumnę uciekinierów, składającą się z kobiet, dzieci i starców. Robił to dlatego, że byli Niemcami. Uwielbiał towarzysza Stalina i dlatego też nad swym łóżkiem miał duży jego portret. Uważałby za zaszczyt czyszczenie jego butów, ale, biedaczysko, nie miał dostępu do nich, zadowalał się więc donosicielstwem. Iskrzyły mu oczy, kiedy mówił o „wielkim ojcu narodów”. Widział wokół pełno podstępnych wrogów, którzy czatowali na „wielkiego” Stalina i jego dzieło.

– Trzeba oczyszczać społeczeństwo z plew! – powtarzał zawsze z cynicznym uśmieszkiem, zezując oczami w moją stronę. Tak też i czynił. Tym razem „szkodliwą plewą” byłem ja.

Kierownikiem akademika był młody pracownik, którego nazywaliśmy diadą Mitią. W przerwie obiadowej byliśmy w swoich pokojach, kiedy wszedł do nas kierownik i poprosił niektórych o przybycie do biura w celu dokonania pewnych wyjaśnień czy też formalności. Kiedy weszliśmy tam zorientowałem się od razu, co to znaczyło. Kolegów poproszono o opuszczenie pokoju, a do mnie padły słowa: „*Ruki w wierzch!*”² Zrewidowano kieszenie, zabierając przy tym rzeczy osobiste i dokumenty. Diadia Mitia w tym czasie stał w rogu pokoju i patrzył na mnie wystraszoną wzrokiem. Z jego oczu wyczytać można było współczucie, lęk i bunt wewnętrzny z powodu przemocy. Na pytania zadawane przez oficerów

1 województwa

2 Ręce do góry!

bezpieki odpowiadał szybko, chociaż głos jego drżał tak, jak gdyby jego przyszłość była pod znakiem zapytania. Mimo młodego wieku widać, że dobrze był zorientowany, co do rzeczywistości w jakiej tkwił. Oficerów było trzech. Jeden był miejscowy, dwóch natomiast przyjechało z Połocka. Po przeprowadzeniu wstępnych zabiegów formalnych panowie w czapkach w niebieskim kolorze kazali się zaprowadzić do mojego pokoju. Opuszczając gabinet kierownik jeszcze spojrzał na mnie, jakby żegnał już na zawsze. Studenci nazywali go wujkiem, ponieważ był uosobieniem dobroci Białorusina, nie należącego do rządzących. Kiedy jednak powróciłem z pięcioletniej katorgi – rozpoznał mnie od razu, ciesząc się bardzo.

Rewizja w pokoju trwała dość krótko. Przejrzeli szczegółowo książki, a przede wszystkim wszelkie zapisane moim pismem papiery. Szczególną uwagę zwracali na listy pisane po polsku, jak też i na polskie książki, wszystkie je przy okazji zabierając. Pozwolono mi zabrać tylko rzeczy osobiste. Wiadomość o aresztowaniu rozeszła się natychmiast. Byłem mocno zdziwiony, kiedy do pokoju, w którym trwała jeszcze rewizja, zaczęli przychodzić koledzy.

– Nie obawiają się konsekwencji? – pomyślałem. Jeden z nich po wejściu zapytał: „*Można li z towarzyszem popraszczatsia?*”³ Ludzie z gwiazdkami na naramiennikach byli tym niemile zaskoczeni. Na początku dość długie milczenie, a następnie jeden z nich wykrztusił: „*Możno!*”⁴ Pierwszy z kolegów podszedł, podał rękę i zmieszonym głosem powiedział „*Pomni Rafał, czto by prawda wsiegda pobieżdała*”⁵. Dał mi przy tym do ręki mały pakunek zawinięty w papier.

3 Można się pożegnać z towarzyszem?

4 Można!

5 Pamiętaj Rafał, aby zawsze zwyciężała prawda.

– *Eto tiebie prigoditsia*⁶ – dodał. Biorąc to wyczułem, że daje żywność na drogę. Po nim inni uczynili to samo. Nie było wśród nich donosiciela Mikołaja, który z góry wiedział, co tu nastąpi. Koledzy przynosili wszystko co mieli. Ktoś bochenek lub połówkę chleba, inny kawałek kielbasy czy też kupioną dla siebie margarynę. Miałem tego prawie pół walizki. Ich postawą byłem mocno zaskoczony – stałem zmieszany, a tylko uściskiem dłoni dziękowałem im za to.

– Jacy wspaniali – myślałem.

Na uczelni w tym czasie działy się przeróżne rzeczy. Jeden ze studentów napisał list do Stalina. Odpowiednie czynniki doceniły jego śmiałość i w związku z tym list nie dotarł do adresata, natomiast odważnego autora umieszczono szybko w zakładzie psychiatrycznym. Dla usprawiedliwienia tego czynu rozpuszczano pogłoski wśród młodzieży, że treść listu świadczyła o chorobie.

Dwie studentki z I roku – Polki z Grodzieńszczyzny, w listach zwierzyły się rodzinie, że uczciły wigilię Bożego Narodzenia. Listy studentek zostały skontrolowane i najpierw wyrzucono je z Komsomołu, a następnie musiały się pożegnać i z akademią. Usunięto z uczelni kolegę Kajuma Sapiżkę tylko za to, że jego matka ucząc w szkole, przejawiała niekonformistyczny światopogląd.

Zbliżała się godzina siedemnasta – czas rozpoczynających się zajęć popołudniowych. Koledzy opuszczali powoli pokój, w którym pozostałem już tylko sam wraz z moimi „opiekunami”.

– *Sobierajties!*⁷ – rzekł jeden z nich. Znaczyło to, że należało się ubrać, zabrać rzeczy i udać się razem z nimi. Miałem opuścić już moich

6 To się Tobie przyda.

7 Zbierajcie się!

kolegów, ulubioną bibliotekę, w której ukradkiem czytywałem polskie książki, park akademicki, gdzie studenci Polacy, spacerując razem, posługiwali się ojczystym językiem i uczelnię, która miała dać mi zawód. Wychodziłem z pokoju i czułem się już jak ofiara skazana na niepamięć, czy też śmierć, z tą tylko różnicą, że nie zdawałem sobie sprawy, gdzie i kiedy to nastąpi. Wiedziałem, że najpierw czekają mnie tortury fizyczne, psychiczne i ta przyszłość niby czarna zasłona wisiała przed oczyma, za którą kryły się duże znaki zapytania.

– Biada ci, człowieku, żeś się urodził w epoce NKWD i jego spadkobierców – myślałem. Z gniotącym ciężarem gdzieś w głębi serca, z walizką w rękę, siedłem do przodu w asyście trzech panów, widok których siał paniczny strach wśród otoczenia. Mimo to wszyscy gapili się w moją stronę.

Początkowo obchodzono się ze mną łagodnie zapewniając, że biorą mnie na czas jakiś dla wyjaśnienia pewnych spraw. Ja udawałem, że im wierzę – sam natomiast knułem zamiar ucieczki. Sto możliwych czy też niemożliwych wersji przechodziło przez głowę. Siedłem na razie z nimi, a tylko ciepły powiew wiosennego wiatru orzeźwiał, dając iskierkę otuchy. Wokół było dużo wody z wiosennych roztopów, a maziste błoto, charakterystyczne dla tego regionu, uniemożliwiało swobodny ruch.

Być w uścisku ówczesnej bezpieki znaczyło wpadnięcie w wiraż sowieckiego bezprawia. Konsekwencją tego było dozgonne niewolnictwo. Jeżeli nawet ofiara z paragrafem więźnia politycznego wytrzyma i odbędzie swój wyrok skazujący, to i tak nigdy nie powróci do rodzinnych stron.

Aresztowani wcześniej koledzy znajdowali się już w wojewódzkim więzieniu w Połocku. Byli to przeważnie bardzo młodzi ludzie zabrani

wprost z ławy szkolnej. Sytuacja polityczna na tamtych terenach była jeszcze daleka od stabilizacji. Stalin w 1950 r. usiłował przeprowadzić tam kolektywizację rolnictwa. W lasach było jeszcze pełno partyzantki litewskiej i polskiej. Nasze zgrupowanie nosiło nazwę „Polskie Narodowe Siły Zbrojne”. Należało do niego sporo młodzieży szkolnej i studenckiej. Stanowili trzon organizacji podziemnej, wspomagając partyzantkę leśną. Organy bezpieczeństwa szybko wpadły na trop ruchu oporu i wszczęły represje na początku 1950 r., stosując masowe aresztowania. Wiedziałem, że i moje zatrzymanie było związane z tamtymi wydarzeniami. Do Połocka było jeszcze daleko, a więc na początku wsadzono mnie do więzienia w Hory Horkach. Na wstępie zrobiono szczegółową rewizję, zabierając walizkę z rzeczami i prowiantem. Zapewniono przy tym, że o rzeczy mam się nie martwić, ponieważ będę tu krótko. Pierwszy raz zobaczyłem prawdziwą celę więzienną. Była ciemna i ponura, a tylko w głębi jarzyła się mała lampka naftowa, która kopciła tak strasznie, że zatykało oddech. Wewnątrz było prawie ciemno, a szare prycze, jak też przedmioty, na tle czarnych ścian i sufitu – nie były widoczne. Stałem, przypuszczalnie na środku i nie widząc nic próbowałem jakoś odnaleźć się w tych warunkach. Po chwili widoczny był już lekki zarys prycz, a z kąta odezwał się jedyny więzień tej celi.

– *Radujuś, czto nie budu odinok*⁸ – powiedział. Ostrzegł od razu, iż jest zawszony. Wystraszyłem się tego, a rozglądając się wokół – wybrałem miejsce dalsze.

– *U was konieczno wszej niet?*⁹ – zapytał.

– *Jeszcze niet!*¹⁰ – odpowiedziałem, ale sama myśl o tym męczyła

8 Cieszę się, że nie będę sam.

9 Oczywiście nie macie wszy?

10 Jeszcze nie.

mnie. On mnie dostrzegł, ja zaś słyszałem tylko jego głos. Nieznajomy przyznał się, że wraz z synem siedzi za kradzież, ale syna w tej celi nie było. Miało to być jakieś głośnie i zuchwałe wydarzenie.

– *Was za czto posadili?*¹¹

– *Nie znaju!*¹² – odparłem. Rozmówca szybko zmienił temat i przeszedł do spraw mniej konkretnych. Mówił o więzieniach, obozach i warunkach tam panujących. Opowiadania te świadczyły, iż był stałym bywalcem kryminalnego świata. Od niego dowiedziałem się, że w łagrach panuje głód i męczą syberyjskie mrozy, a ciężka praca, pobyt w *odinoczkach*, *burach*, *zurach*¹³ i karcerach – doprowadzają do schorzeń psychicznych lub śmierci poprzez dystrofię. Przypominałem sobie później jego opowiadania, kiedy już na własnej skórze odczuwałem to wszystko. Rozmowa przeciągnęła się aż do późnych godzin i trwałaby przez całą noc, gdyby nie pogróżki dozorczy. Po tych ostrzeżeniach powoli przestawaliśmy rozmawiać i wkrótce z ciemnego kąta docierało już tylko donośne chrapanie. Zazdrościłem mu, że mógł tak szybko zasnąć. Leżałem na gołej pryczy i patrzyłem w ciemną przestrzeń. Myślami sięgałem wstecz. Z tamtych lat najbardziej zapamiętałem wywózki na Sybir, aresztowania bliskich mojemu sercu ludzi i inne straszne rzeczy, z tamtymi wydarzeniami wiązała się też i moja sytuacja. Obrazy z przeszłości przesuwały się w pamięci niby kadry filmowe, a ja dalej leżałem z otwartymi oczami, bo sen się oddalił i nie chciał powrócić.

– Kiedy ta koszmarna noc się skończy? – myślałem. Przyszła na myśl w tym czasie improwizacja Konrada z Mickiewiczowskich „Dziadów”. Może dlatego, że była to ostatnia polska książka, którą jeszcze

11 Za co siedzicie?

12 Nie wiem.

13 Cela jednoosobowa

w akademii czytałem, a może utożsamiałem się z nim, bo również buntowałem się wewnętrznie przeciw okrutnej rzeczywistości. Nie odważyłem się jednak porównywać Boga z carem, a tym bardziej już ze Stalinem. Ostatnio czytywałem książki mające charakter patriotyczny, a jedna z nich nazywała się „Trębacz cesarski” Ferdynanda Ossendowskiego. Autor przedstawia w niej obraz powstania listopadowego, gdzie powieściowy bohater trafia na Sybir. Później, kiedy mnie spotkał podobny los – był dla mnie przykładem. Syberia, w mojej świadomości, powoli stawała się faktem dokonanym.

Niemal przez całą noc nie spałem, a głośnie chrapanie sąsiada, nieuporządkowane myśli i wspomnienia – wszystko to tak mnie zmęczyło, że w pewnym momencie wydawało się, że przedmioty wirują, a ja zapadałem w błogą nieświadomość.

Jak długo to trwało, tego nie wiem, a obudził mnie głos dozorczy, ponaglący do wstawania. Zerwałem się od razu i po uświadomieniu, co się dzieje, począłem rozglądać się dookoła. Przez małe okienko wpadały pierwsze promienie słońca, słabo oświetlając wnętrze, ale lampka naftowa paliła się dalej. Dopiero teraz dostrzegłem miejsce, gdzie spał współwięzień. Dokuczliwy kaszel nie dawał spokoju, bo powietrze przesiąknięte tłustym dymem i zapachem nafty – dusiło.

Wkrótce wyprowadzono nas do wychodka, a po dwudziestu minutach podano śniadanie. Składało się ono z kawałka razowego chleba, małej, nie większej od naparstka miarki cukru i kubka kawy zbożowej.

Niebawem spodziewałem się wizyty „opiekunów” i tak też było, bo nieomal zaraz zabrano mnie do gabinetu i w pośpiechu sporządzono pierwszy protokół w mojej sprawie. Oświadczone przy tym, że czeka mnie droga, a przy okazji zwrócono rzeczy, bo regulamin zabraniał mieć

je w celi. Widziałem, jak śpieszyli się spoglądając co jakiś czas na zarekwirowany mnie zegarek.

– *Sobierajcieś, uže pora!*¹⁴ – rzekł jeden z nich. Po koszmarnej nocy odczuwałem zmęczenie, ale wstałem, ubrałem płaszcz i z walizką w rękę wyszedłem z nimi na zewnątrz. Powitał nas ciepły dzień i szliśmy ponownie ulicami wśród kałuż i błota. Nieopodal miejscowego bazaru zauważyłem koleżanki idące naprzeciw. W chwili, kiedy były już blisko – jedna z nich głośno rzekła: „*Szczastliwego puti Rafail!*”¹⁵. Spojrzałem w tamtą stronę, a serce mi mocniej zabiło i unosząc rękę do góry – pożegnałem ją. Była to Marylka z Grodna, do której żywiłem sympatię i szacunek, gdyż była miła, ładna i jak to Polka, stwarzała wokół siebie przyjazną atmosferę. Lubilem z nią się bawić, a w szale tanecznego wiru patrzyłem w błękit jej oczu i twarz, z której promieniował urok młodości i dziewczęce piękno.

– *Kto oni?*¹⁶ – spytał nastrożony mgebista.

– *Eto studentki, podrugi z mojego kursa!*¹⁷ – odpowiedziałem. Więcej się nimi nie interesowali. Szliśmy dalej po wiosennym błocie, a od przemokniętych butów czułem nieprzyjemny chłód w nogach. Sądziłem, że przeziębienie zapewnione, ale nie wyobrażałem sobie choroby w tych warunkach. Po prawie półgodzinnej wędrówce dobrnęliśmy do dworca, ale pociągu jeszcze nie było. Stałem na peronie otoczony „stróżami” i patrzyłem na panoramę miasta i akademię, która z oddali wyglądała pięknie. Zniszczone przez wojnę Hori Horki leżały na trasie Orsza–Charków w odległości 30 km od historycznego Lenino. To tutaj ofiary sowieckich łagrow oddawały życie za niepodległą Polskę, nie wiedząc jeszcze, że na

14 Zbieraj się, już czas!

15 Szczęśliwej drogi Rafale.

16 Kto to?

17 Studentki, koleżanki z roku.

tę niepodległą trzeba będzie długo poczekać. Napatrzyłem się na ubogie bazary, na których staruszkowie sprzedawali łapcie lipowe. Najbardziej żałośnie wyglądały w nich młode dziewczyny. Mimo ubóstwa, do którego przyczyniła się wojna, ludzie nie tracili godności, zachowując człowieczeństwo i dobre serca.

Wreszcie usłyszałem sygnał nadjeżdżającego pociągu. Czas oczekiwania kończył się, a na peronie powstał chaotyczny ruch, bo wszyscy śpieszyli w kierunku toczących się powoli wagonów. Po wejściu do środka „troskliwi opiekunowie” zadbali o miejsce najdalsze od okien i przejścia, ale myśl o ucieczce nie dawała spokoju. Siedziałem między nimi, a ukradkiem badałem warunki i teren. W przedziale byliśmy sami, bo pasażerowie unikali nas. Jeszcze wcześniej „towarzysze podróży” przyznali się, że przetańczyli całą noc na akademickiej zabawie. Czekałem na moment, kiedy ogarnie ich znużenie i senność, a sam udawałem niemrawość i zmęczenie. Chciałem położyć się na górnej półce wagonu, gdyż stamtąd łatwiej będzie zrealizować mój zamiar. Zacząłem ich prosić i w końcu zgodzili się na to. Znużeni pochylili głowy i należało sądzić, że śpią. Czułem, jak serce zaczynało kołatać coraz mocniej i mocniej, a minuty wydłużały się. Oni nadal siedzieli z pochylonymi głowami.

– Wystarczy moment nieuwagi z ich strony – myślałem. Ze spokojem włożyłem buty, zabrałem płaszcz spod głowy i przesuwając się wzdłuż półki, zacząłem schodzić w dół od strony przejścia. Jedną nogą stałem już na podłodze, a tu zerwali się obaj naraz i już byli przy mnie.

– *Ty czto*¹⁸ – wrzasnął jeden z nich.

– *Tam oczeń żarko*¹⁹ – odparłem. Złapali mnie za ręce i kazali usiąść na poprzednim miejscu. Byłem zły.

18 Ty co!

19 Tam jest bardzo gorąco.

– Nie udało się! – myślałem.

Czas leciał i nie postrzegłem, kiedy mineliśmy Orszę, a pociąg pędził już w kierunku Witebska. Przypomniałem sobie, że tam czeka nas przesiadka.

– Jeszcze jedna i chyba ostatnia okazja – pomyślałem.

Na dworze zapadał zmierzch. W wagonie nic szczególnego się nie działo, tylko pociąg mknął szybko. W okolicy serca odczuwałem gniotący ból, a w głębi duszy uczucie żalu do tych, którzy zgotowali mi ten los. Czułem, że powoli zbliżał się koniec podróży i „opiekunowie” niedługo przekażą mnie do dyspozycji tych, którzy mają ciężkie i twarde dłonie. Na widok ich mundurów miewałem uczucie wstrętu i strachu, tak samo jak i do niemieckich ze znakiem trupiej czaszki. Utało się już pojęcie, że tak z jednych, jak i drugich rąk – nie wychodzi się cało.

Nawet nie zauważyłem, że witał nas już Witebsk ze swoimi wojennymi ruinami. Zamiast dworca stał prowizoryczny drewniany barak, a jedno z pomieszczeń służyło w nim za restaurację dla oficerów. Po wyjściu z pociągu udaliśmy się właśnie tam. Odźwierna nie chciała mnie wpuścić.

– *A razwie nie widitie, czto on oficer*²⁰ – z ironią zapewniał jeden z nich. Woźna, zorientowawszy się szybko o jakiego oficera chodzi, spojrziała na mnie i na nich i wpuściła nas.

W jadalni było prawie pusto, a „opiekunowie”, zmierzyszy oczami salę, wybrali stolik stojący w kącie, daleko od drzwi i okien. Zamawiając dania zaproponowali i mnie posiłek. Podziękowałem za dobre chęci, mówiąc, że na nic nie mam ochoty. Wówczas jeden z nich oświadczył, że

20 A co nie widzicie, że on jest oficerem.

mogę zamówić suchy prowiant, gdyż mają na to specjalne fundusze. Skorzystałem z propozycji i poprosiłem o kielbasę i bułki. Chciałem szybko opuścić lokal, bo w ciemnościach nocy i zamieszaniu – widziałem swą lepszą przyszłość. Im się jednak nie śpieszyło.

– Mam potrzebę wyjścia – oświadczyłem. Prośbę przyjęto z niechęcią i niedowierzaniem. W końcu jeden z nich się zdecydował. Wstał, ubrał płaszcz, spojrzał na mnie nieufnym wzrokiem i niewyraźnie wymamrotał: „*pojdiomtie!*”²¹

Po chwili byliśmy na dworze. Tuż za plecami usłyszałem szcęk pistoletu, a następnie byłem lekko popychany lufą. Szedłem, a on nie odstępował mnie ani na krok. Warunki nie sprzyjały ucieczce i tym razem. Niebawem byliśmy już z powrotem i o dziwo – ten groźny przed chwilą człowiek był znowu uśmiechnięty i żartował ze mną.

Po kilkudziesięciu minutach siedzieliśmy ponownie w wagonie, który zmierzał już w kierunku Połocka. Około północy byliśmy na miejscu, a w pobliżu dworca czekał na nas specjalny samochód – „*czornyj woron*”²². Nazwa przynębiająca, ale trafna. Pierwszy raz mnie wsadzono do brudnej, obskurnej budy i zamknięto na kilka spustów. Docelowym miejscem była najpierw centralna siedziba połockiej bezpieki. Jest to ogromne gmaszysko znajdujące się na historycznym wzgórzu zamkowym. Do środka prowadziły szerokie granitowe schody, a wewnątrz mnóstwo gabinetów śledczych. Zauważyłem, że wszystkie okna miały potężne kraty. Wprowadzono mnie do dużej sali, gdzie stały rzędami biurka, a przy nich mnóstwo oficerów MGB. Niektórzy pochyleni nad papierami analizowali je głośno rozmawiając ze sobą. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że zawierały one ogrom ludzkich nieszczęść i tragedii.

21 Wstawajcie!

22 Samochody przeznaczone do przewozu więźniów . (czarny)

Mnie kazano usiąść w rogu pokoju i czekać. „Opiekunowie” zaś dołączyli do reszty i wraz z nimi przeglądali również arkusze z nazwiskami ludzi. Mimo zmęczenia uważnie wsłuchiwałem się w treść ich rozmów. Szybko zorientowałem się o jakie to wykazy chodzi, bo być może celowo rozmawiali głośno, abym się dowiedział, do jakich to rąk trafiłem. Były to spisy rozstrzelanych ludzi, jak też skazanych na rozstrzelanie i osądzonych na śmierć z zamianą na dwadzieścia pięć lat łagrów. Patrzyłem na zbiorowisko speców od zabijania, którzy byli cyniczni, zarozumiali i pewni swych racji. Był to mój pierwszy kontakt ze straszną rzeczywistością, która skrzętnie ukrywana była za tymi ścianami. Było mi nieswojo, a ze strachu ciarki przeszły po skórze, powodując odrętwienie. Czułem się jak zwierzę zamknięte w klatce, bo spoglądali na mnie nieprzyjazylnym wzrokiem, a mnie się wydawało, iż niedługo zaczną dobierać się i do mojej skóry.

Pobyt w głównym gmachu MGB trwał około dwóch godzin. Potem, już po raz ostatni, zabrali mnie i odwieźli do więzienia, aby przekazać organom śledczym przy ulicy Karola Marksa. Samochód zatrzymał się w pobliżu bramy więziennej, naprzeciw której widniał skwer. W świetle księżyca wyłaniały się z niego dwa ciemne posągi ówczesnych „bogów”, dzięki czemu mogłem się zorientować, gdzie się znajdujemy. Więzienie było w pobliżu dużego gotyckiego kościoła i gmachu klasztornego tuż nad samą Dźwiną. Cały ten zespół zabytków pochodził z okresu I Rzeczypospolitej, a po jej rozbiorach urzędnicy carscy nazywali go *Kadietskim Korpusem*²³. W latach pięćdziesiątych władze Połocka z premedytacją postanowiły zburzyć ten kompleks, gdyż był świadkiem polskości. Pozostała tylko ta część, w której znajdowało się więzienie.

Stanęliśmy przed bramą, którą od razu otworzono i wprowadzono mnie na podwórko więzienne. Było otoczone wysoką ścianą, a na rogach

stały wieżyczki ze strażnikami, trzymającymi w pogotowiu automatyczną broń. Słyszałem, jak głośno zatrzęsęły się za mną drzwi – drzwi, które otworzą się dopiero po śmierci Stalina i pięciu latach pobytu w trzynastu sowieckich kazamatach i dwóch obozach na nieludzkiej ziemi.